№ 23. Warszawa, dnia 28 Maja (9 Czerwca) 1877 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Treść Numeru:

DO KOBIETY.

(przekład z Alfreda de Vigny).

— Omijaj ty cienie, omijaj ty chmury,
Którym tłum pokłony głębokie oddaje,
— Wznieś oko — tam gwiazda starych magów z góry,
Czołu twojemu blask daje.
— Pozostań kobietą w tych czasach ponurych,
Zachowaj w swem sercu tę miłość litości...
— Pochyl się pokornie przed oczami — których
Łzy Boskie — łzami świętości.
— Pochyl się pokornie na wschodach kościoła,
U stóp tych ołtarzy co bóstwy zostały,
A może ten przykład twój oświecić zdoła,
Umysł o wierze zwątpiały.
— Omiń czar ponętny tej świata budowy,
Te bogactwa czary i zaszczytów ziemi,
Niech wątpią o prawdzie ci — co prawdy mowy
Sercami nie słyszą swemi.
— Dozwól — niechaj ludzie co tak dumni z siebie
Powiedzą: „Ty módl się — my drwimy z świętości...“
— Wierz mi — wierz kobieto — że siłą jest w niebie
Co dla nich mianem słabości.
— Tyś silną — bo twa siła nigdy nie ustanie,
I nie będzie prochem jak ich siła dumna...
— Ty mężną zostaniesz przez *myśli* poznanie
Sercem wyniosła kolumna...
— I jesteś tą iskrą co w chwilach wzruszenia,
Wznieci święty ogień gasnącej pochodni,
Przez ciebie nadzieja i błyski natchnienia
Dla tych, co ledwie jej godni.
— Sprawiedliwość — tylko niewinność wstrzymuje,
Gdy żadna moc ziemska zmienić jej nie zdoła,
To czysta modlitwa wyrokiem kieruje,
I do Boga — Stwórcy — woła:
— Jak igła magnesu na północ steruje,
Tak sama przez siebie świętem uniesieniem
Twa dusza modlitwę Bogu ofiaruje,
Ciesząc się kwiatem — cierpieniem.
Nie istnieje czoło tak gromem schylone,
Którego nie wzniesiesz z pyłu opuszczenia,
Zda się liście zwiędłe znowu są zielone,
Na echo twego imienia.
A twem wsparciem — Imię — to Imię wielkiego
Boga — co tak cierpiał — cierpiał w zapomnieniu
Mówią: „na cóż wiara?“ lecz wsparciem biednego
Bóg — co znał nędzę — w cierpieniu.

Marya Ksawera Marczewska.

SZATAN.

SZKIC DO POWIEŚCI

przez

Ludwika Niemojowskiego.

To co wam opowiem działo się w mieście Ankonie.

Wspomnione miasto nie należy bynajmniej do wybitniejszych i bardziej zajmujących miejscowości Italii; nie posiada ono ani piękności uroczych Golfu neapolitańskiego, ani zabytków przeszłości starożytnego Rzymu, ani wreszcie marmurowych pałaców Wenecyi — jest to gród drugiego rzędu, którego tętno życia objawia się w owem ruchu jaki zwykle około morskiego portu panuje.

Przed kilkunastu laty, zostałem zmuszony wraz z kilkoma towarzyszami podróży, pozostać przez czas jakiś w tem mieście. Powodem jaki nas zatrzymał było wzburzone morze, nie pozwalające statkom parowym pasażerskim odbywać zwykłych swych kursów. Nie znając nikogo, nie mając żadnych stosunków z miejscowymi mieszkańcami przepędzaliśmy wieczory w teatrze, a zaś dnie całe nad brzegiem morza. Teatr posiadał wówczas dobrą operę i wcale niezły balet; obszerny zaś plac portowy stanowił jedyny punkt przechadzki. W poobiednich mianowicie godzinach kiedy muzyka konsystującego tamże pułku austryackiego grywała, można było widzieć najróżnorodniejsze tłumy używające przechadzki lub też wygrzewające się pod ożywczem promieniem południowego słońca. Byli to bogaci kupcy ze swemi rodzinami i mnóstwo cudzoziemców różnej narodowości, jacy zwykle zapełniają znaczniejsze portowe miasta.

Pewnego dnia znajdowałem się wraz z dwoma towarzyszami i nieodstępnym cicerone na wymienionym wyżej placu; dokoła nas snuły się różnobarwne tłumy, przed nami wspaniały Adryatyk huczał groźnie, gniewny iż rozbijające się o granit jego skał bałwany żadnej nie mogą pochłonąć ofiary. Muzyka grzmiała jakiegoś marsza, używający przechadzki mijali się w rozmaitych kierunkach rozmawiając w przeróżnych językach, a gwar spacerującej publiczności w połączeniu z dźwiękami wojennej melodyi i hukiem pieniących się fal sąsiedniego morza, stanowił dziwny w swoim rodzaju chaos.

Wszyscy trzej zajęliśmy miejsca na niewielkiej ławeczce znajdującej się niedaleko cementowego parapetu otaczającego port; cicerone nasz młody dwudziestoletni chłopak stał opodal, oczekując ze zwykłą, apatyczną niemal uległością klasy ludu do której należał, jakiegobądź od nas polecenia. To co widzieliśmy nie różniło się niczem od tego cośmy już poprzednio oglądali. Kupcy i bankierowie włoscy opuściwszy gmach zwany Logia dei Mercanti (giełdę) kombinowali przypuszczalne straty lub zyski w handlowych operacyach; oficerowie austryaccy rozprawiali o wojskowości lub też zaglądali ciekawie w czarne oczy jakiej osamotnionej donny: anglicy owinięci w szerokie pledy, przesuwali się w milczeniu zawsze poważni i wiecznie znudzeni, tu i owdzie

jaki członek zakapturzonego bractwa z zakrytą twarzą, stawał bez wymienienia jednego wyrazu obok nas, i brząkając pieniędzmi w blaszanej puszce, dawał znak iż prosi o ofiarę dla biednych.

Monotonność podobnego widoku sprawiła, iż czas zaczął nam się dłużyć: kilkakrotnie spoglądaliśmy na zegarek, badając, czy pora rozpoczęcia widowiska w teatrze nie nadeszła, ale ponieważ jak już wyżej powiedziałem, nie zawiązaliśmy z miejscowymi mieszkańcami żadnych stosunków, jedynym środkiem, dla uniknięcia hotelowych nudów, było pozostanie na zajmowanej dotąd przez nas ławeczce.

Spoglądając tak przez godzinę machinalnie na spacerujących, ujrzałem pośród tłumu publiczności postać, która dziwne i niepojęte prawie na mnie wywarła wrażenie.

Postać ta nie zdawała się przecież mieć w sobie na pierwszy rzut oka nic tak bardzo szczególnego dla tych, którzy przelotnie zapatrują się na wypadki życia ludzkiego: był to wysoki brunet około 25 lub 27 lat wieku liczyć mogący, który nie zważając ani na muzykę, ani na przechodzących, ani na otaczające go osoby, trzymał wzrok wlepiony w jakiś niewidzialny dla mnie przedmiot, z niezachwianą i niedającą się niczem zrazić usilnością.

Zawsze byłem skłonnym do przejmowania wrażeń magnetycznych. Trafiało mi się spotykać za życia ludzi, których spojrzenie oddziaływało na mnie bezpośrednio cudownym sposobem: tacy ludzie widziani częstokroć raz jeden, przez chwil kilka zaledwie, pozostawali na zawsze w mej pamięci: rysy ich twarzy, organ ich głosu, najdrobniejsze szczegóły towarzyszące chwilowemu spotkaniu wyryły się wtedy tak głęboko w mym umyśle, że ujrzawszy ich po upływie lat kilku lub nawet kilkunastu, pewnym byłem nie tylko poznania, ale nawet przypomnienia sobie wszelkich okoliczności, jakie zajść mogły w czasie przypadkowego zbliżenia. Tacy ludzie miewali zwykle coś odrębnego w swojej fizyonomii, jakiś niezwykły blask w oczach, jakiś dziwny wyraz w uśmiechu, coś co ich wyróżniało od tłumu i wywoływało to mimowolne i nienaturalne zajęcie się umysłu. Szczególniejszym zbiegiem okoliczności, zostawali oni pośrednio lub też bezpośrednio wmieszani w dalsze wypadki życia mojego, chociaż, wyznać muszę, iż nigdy nic dobrego dla mnie ztąd nie wypłynęło. Nie jestem optymistą, w fatalizm również nie wierzę; wiem że to wszystko było prostym trafem, najzwyczajniejszą w świecie przygodą, a przecież ten traf który mógł się stać w każdym czasie, zachodził zawsze w danej chwili. Był to fakt zadziwiający ale nie cudowny, tak samo jak np. w życiu gracza, owa nieszczęśliwa lub szczęśliwa wena, w czasie której karta pada bez przerwy kilkanaście razy na jedną stronę, chociaż podług wszelkiego prawdopodobieństwa powinnoby dziać się inaczej.

Nieznajomy, znajdujący się naprzeciwko naszej ławki, był widocznie jednym z podobnych ludzi. Jeszczem go nie ujrzał a już czułem jego wzrok i szukałem mimowolnie w tłumie postaci, którą zgadłem nie widząc, przeczuwałem nie znając, a którą ujrzawszy nie znalazłem w sobie dość siły ażeby otrząsnąć się z mimowolnego wrażenia. Twarz jego była owej bladości matowej, trupiej, którą malarze fantastycznych legend powlekają rysy upiorów; oczy wielkie, czarne, nieruchome, zdawały się nie mieć powiek, tak jasno i nieprzerwanie patrzyły, a brwi niezwykłej gęstości schodziły się tworząc jedną linię, przedzielając twarz ciemną pręgą na dwie równe części.

Jak już wyżej powiedziałem, nieznajomy zdając się nie zważać na otaczające go osoby, trzymał wzrok wlepiony w jakiś niewidzialny dla mnie, ukryty wśród tłumu przedmiot. Gdy się jednakże po chwili liczne zgromadzenie rozstąpiło, miałem sposobność przekonać się, co tak dalece owładnęło jego uwagę: były to dwie damy siedzące na małej ławeczce. Jeśli mówię dwie, źle się wyrażam; jedna z nich bowiem chuda, wyżółkła, zgarbiona, opierająca się na małej laseczce staruszka, nie posiadała tyle powabów i wdzięku ażeby jakiekolwiek zdołała obudzić wrażenie — wyraźnie więc tylko jej towarzyszka mogła tak wyłącznie zająć uwagę nieznajomego.

Ta ostatnia mogąca liczyć około 30 lat wieku, łączyła w całej postawie swojej wspaniałą godność wzięcia się z naturalnym wdziękiem ruchów. Było w niej coś imponującego i przyciągającego zarazem. Wyniosłemi kształtami ciała, klasycznością rysów przypominała typ rzymskiej transteweryninki, pełnym zaś uroku i niewysłowionej rzewności uśmiechem, idealną piękność poetów. Córa południa w całem znaczeniu tego wyrazu, posiadała owo spojrzenie bystre, ogniste i namiętne zarazem, którego błysk przelotny wgłębia się w tajniki serca, obudzając nieznane przedtem wrażenia. Płeć jej była śniadą, oczy obwiedzione lekką niebieską obwódką, czoło dumne, a jednak pomimo tych oznak jakieby w każdej innej może kobiecie stanowiły ujemną stronę fizycznej piękności, wywierała na otaczających ją niezwykły wpływ.

Zwróciłem uwagę towarzyszy moich na te dwie postacie, lecz oni niepodzielili bynajmniej mojego zajęcia. Ani zagadkowy, o dziwnym wzroku człowiek, ani też wyniosłe kształty kobiety, którą tenże zdawał się uwielbiać w milczeniu, nie zdołały pobudzić ich do głębszych obserwacyi.

— Zwyczajnie *amoroso* włoski, rzekł jeden z nich, zakochany w swej dulcynelli, a może też i wzajemnie kochany; takie rzeczy trafiają się w każdej porze, w każdym kraju — wszędzie i zawsze.

— Na pociechę młodzieży a pożytek ludzkości, dodał sentencyonalnie drugi.

Ja jednakże dopytywałem się kto może być ów tyle niepodobny do innych ludzi nieznajomy? Ale napróżno.

W końcu zwróciłem się do naszego cicerone.

— Eccelenza? rzekł, przystępując na me skinienie do ławki.

— Powiedz mi, zapytałem, kto jest ten człowiek? Zwrócił wzrok na wskazaną stronę.

— Ten? na co wam to wiedzieć eccelenza? Zapewne nigdybyście z nim poznać się nie chcieli.

— Więc go znasz?

— A niech mnie Bóg broni! Ale to jest okropna postać: zważcie jak mu źle z oczów patrzy. Gdybym się nie obawiał wymienić tego wyrazu, powiedziałbym iż podobnym jest do...

— Dokończ!

— Do...

Obejrzał się do koła niespokojnie i dodał stłumionym głosem:

— Do mieszkańca piekieł!

Wymawiając te słowa przeżegnał się pobożnie.

Wkrótce potem powróciliśmy do naszego mieszkania: złowieszcza postać tajemniczego człowieka, przyplątała się do wszystkich snów jakie tej nocy miałem.

Nazajutrz z rana przedsięwziąwszy wycieczkę w celu zwiedzenia miasta, przechodziłem przez ulicę łączącą się z placem gdzie stoi wspaniały gmach Manciforte. Na balkonie jednego z domów siedziała kobieta wyniosłej postawy—poznałem ją odrazu: była to wczorajsza piękność.

Zająłem miejsce pod wystawą kawiarni znajdującej się naprzeciwko, kazałem sobie podać czekolady i niepostrzeżony uważałem ją w milczeniu.

Spoczywała na miękkim aksamitnym fotelu, trzymając w ręku książkę którą zdawała się czytać: po chwili jednakże spostrzegłem, że książka ta była dla niej tylko narzędziem służącem do pokrycia wewnętrznego zajęcia, do utajenia malującego się na twarzy niepokoju. W głębi salonu dojrzeć mogłem krzątającą się staruszkę, która stukając małą laseczką po podłodze, suwała dosyć żwawo z miejsca na miejsce.

Po upływie kwadransa ukazał się na balkonie otyły, zupełnie łysy, w złotych okularach na nosie jegomość, który sądząc po krótkim płaszczu okrywającym jego ramiona, rękawiczkach i kapeluszu trzymanych w ręku, zabierał się do wyjścia.

Pomówiwszy kilka słów ze znajdującą się na balkonie damą, pocałował ją w rękę i zawrócił się ku drzwiom. Po chwili ujrzałem go wychodzącego z domu i znikającego na zakręcie ulicy.

Nieznajoma wychyliła głowę patrząc za odchodzącym; zaledwie go straciła z oczów odrzuciła od siebie trzymaną dotąd książkę, odetchnęła z rozkoszą jak osoba pozbywająca się nieznośnego ciężaru, i szybkiem spojrzeniem obiegła pustą prawie ulicę.

W tejże chwili o kilka kroków ode mnie, wysunęła się z bramy domu nowa zupełnie postać: był to młody blondyn, z gęstą rudawą cokolwiek brodą obwinięty w szeroki płaszcz.

Uśmiechnęli się do siebie, a ona lekkiem mrugnięciem oczów i niedojrzanym prawie gestem dała mu znak, który wytłomaczyć można wyrazem: „przyjdź!“

Zaledwie jednak tenże kilka kroków naprzód postąpił, twarz jej zmieniła się nagle, a w oczach zwróconych w drugą stronę ulicy malowały się przestrach i trwoga.

Na środku chodnika stał tajemniczy nieznajomy wczorajszego wieczoru. Rysy jego twarzy były zimne, martwe, nieruchome jak zwykle; z pod gęstych czarnych brwi wybiegało owo spojrzenie ostre, przenikające, magnetyczne, które tak silne wrażenie na mnie wywarło...

Siedząca dotąd na balkonie dama ujrzawszy tę złowrogą postać, zerwała się nagle ze swego fotelu, cofnęła w głąb salonów, zamykając szybko szklane drzwi za sobą.

Blondyn pobiegł ku bramie.

W progu stanął lokaj w liberyi.

Po kilku słowach rozmowy ze służącym, młodzieniec zawołał głosem w którym wrzała utajona wściekłość:

— Mi par impossibile, avra mal inteso... widziałem w tej chwili twoją panią w oknie.

— Si davvero, non c'e nissuno in casa — nie ma nikogo, rzekł lokaj zamykając mu prawie przed nosem drzwi domu.

Na ulicy rozległ się śmiech dziki, suchy, przerażający...

Tak strasznego śmiechu jeszcze nigdy nie słyszałem.

Odprawiony w podobnie niespodziewany sposób młodzieniec, obrócił się nagle zgrzytając zębami ze złości; na ulicy nie było już tego którego szukał zapewne.

— To on — szeptał na stronie wszedłszy do kawiarni do której nie chcąc być widzianym wszedłem przed chwilą: „to on“ poznałem po śmiechu szatana!

Jednym tchem wypił podaną sobie szklankę limonady.

— Daruj pan, rzekłem zbliżywszy się wtedy do niego, daruj namiętnej ciekawości cudzoziemca, ale widziałem przed chwilą na ulicy postać, która dziwne na mnie uczyniła wrażenie.

— Wrażenie niezwykłe? zapytał półgłosem nie patrząc na mnie.

— Tak jest.

— „To on" mówił ciągle do siebie nowoprzybyły, „to on niezawodnie!"

— Jakto on?

Nieznajomy spojrzał na mnie z zadziwieniem, zdając się dopiero spostrzegać moją obecność.

— A... przepraszam za roztargnienie, rzekł zebrawszy myśli: pytasz mnie pan o tego... czarnego?

— Tak jest.

— O tego co się inaczej śmieje jak... ludzie?

— Tak jest.

— Widać że pan cudzoziemiec, kiedy nie znasz czarnego.

— Lecz któż on jest, jak się nazywa?

— Il demonio, szatan! odrzekł nieznajomy skłoniwszy mi się grzecznie opuszczając kawiarnię.

— Usłyszawszy podobne objaśnienie osłupiałem z zadziwienia. W gruncie rzeczy mógł niejeden i mniej nawet wrażliwy ode mnie turysta, zadziwić się tyle fantastyczną wiadomością.

Po chwili jednak rozwagi nabrałem przekonania, że albo zapytany nie był przy zdrowych zmysłach, albo też prawdopodobniej jeszcze wściekłość, gniew i zazdrość miotające jego sercem, kazały mu szukać chwilowej ulgi w obarczeniu nienawistnego rywala zastosowanym do jego postaci przydomkiem.

Wszystko cokolwiek przypuścić można było, łatwiej dało się pojąć i wytłomaczyć, jak obecność mieszkańca piekieł w pośrodku portowego miasta Ankony.

I tak minęło dni kilka, nadchodził czas wyjazdu, a ja nie znając nikogo w Ankonie straciłem nadzieję wyjaśnienia tej zagadki, tymbardziej że i tajemnicza postać nieznajomego nieukazała się już nigdzie oczom moim. Z tego powodu nawet miałem niejaki kłopot: jeżeli, myślałem sobie, notując podług zwyczaju wszystkie drobne wypadki podróży mojej, zamieszczę ten fakt tak jak mi się przedstawił, bez wyjaśnienia, którego nie znając dać nie mogłem, co za gromy potępienia spadną wtedy na moją głowę. Jakto? zawołają panowie recenzenci — szatan w Ankonie! coś nakształt żyda wiecznego tułacza błąkającego się po ulicach jednego z najbardziej uczęszczanych miast portowych — to już przechodzi wszelką miarę prawdopodobieństwa: takich rzeczy pisać się nie godzi w dziewiętnastym wieku; i powiedzą: oto do czego idealogia doprowadzić może rozstrojoną fantazyą.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, dotąd w podróżach moich nie zostałem ani razu napadniętym przez bandytów; żaden z okrętów wiozących mnie i moje losy nie uległ zatonięciu lub zepsuciu: żaden ze złych ludzi nie poczęstował pchnięciem choćby nawet nieszkodliwym sztyletu. Gdyby jednak coś podobnego, a o to we Włoszech nietrudno, spotkało waszego sługę, gdybym trzymając się wiernie opisywania wszystkich przygód wędrownego życia, umieścił w moich notatkach to naturalne choć niezwyczajne zdarzenie, chór powątpiewania powitałby niezawodnie sprawozdanie moje. Są bowiem ludzie, którzy przywykli uważać każdy opis podróży, jak tylko ten przestaje być ckliwą nomenklaturą rzeźb, posągów i obrazów, za utwór fantazyi; słysząc zaś o bajecznych wędrówkach Aleksandra Dumas'a lub naszego Tryplina, sądzą że wszystkie tego rodzaju książki pisane są w wygodnym fotelu pomiędzy czterema ścianami, a najzwyczajniejsze zdarzenia, najprostsze wypadki witane są przez nich z uśmiechem niedowierzania.

Czyliżbym przy opowiadaniu zwykłego, lecz przybranego pozorami barw fantastycznych zdarzenia, miał zostać na brzegach portu Ankony pochłoniętym falą niedowierzania?

Zaprawdę, byłoby to nader smutną dla mnie alternatywą!

Na pociechę jednak moją, gwiazda opiekująca się pozostawionym samym sobie wędrowcom, zabłysła na zaciemniającym się coraz więcej horyzoncie prawdopodobieństwa niniejszych notatek.

Było to w przeddzień naszego wyjazdu z Ankony. Nazajutrz do dnia odpływał statek parowy mający nas zawieść do Tryestu: przed kupnem potrzebnych na ten cel biletów i uregulowaniem paszportowych przepisów, przyrzekliśmy sobie zebranie się na śniadanie w sali hotelu Europejskiego.

Znajdując się najpierwszym na miejscu schadzki, ujrzałem około obszernego stołu kilkunastu oficerów austryackich, obok bocznych zaś stolików pomieszczonych w głębi futryny u okien, siedziało pojedynczo kilka cywilnych osób.

O radości! przy jednym podobnym stoliku dostrzegłem tajemniczego nieznajomego.

Twarz jego była bladą jak zwykle, wzrok pełny, szklisty, nieruchomy, na wskroś przenikający — wyraz rysów twarzy dziwny i straszliwy.

Resztki przecież śniadania pozostałe na talerzu, wypróżniona butelka wina, okazywały jawnie materyalną stronę jego natury.

O ile mi wiadomo, duchy nie mają zwyczaju przyjmowania posiłku; ten jadł i pił za czterech, nadzieja więc wstąpiła w moje serce.

Zaledwiem wszedł do sali, nieznajomy wstał od stolika, kazał sobie podać rachunek, zapłacił, skłonił się oficerom i wyszedł; wszystko ni mniej ni więcej jak gdyby prostym był tylko śmiertelnikiem.

— Kto jest ten pan? zapytałem biorąc na stronę usługującego garsona.

— Ten... czarny?

— Tak jest.

— Il demonio!... odrzekł zupełnie seryo serwitor włoski, oddalając się z trzymanym w ręku półmiskiem.

Tego już było zanadto. Spojrzałem rozgniewany na obnoszącego w tej chwili potrawę garsona, starając się wyśledzić w rysach jego twarzy jakiegokolwiekbądź odcienia szyderstwa, ale napróżno—twarz usługującego nie wyrażała nic więcej prócz zajęcia powierzonemi obowiązkami i obawy ażeby zgromadzeni goście nie doznali zawodu w żądaniach swoich.

— Słuchaj! rzekłem chwytając go za rękę w chwili gdy powracał z próżnym półmiskiem — słuchaj, ja żartować z siebie bezkarnie nie pozwolę.

Serwitor spojrzał na mnie z zadziwieniem.

— A któżby też ośmielił się dopuścić podobnej nieprzyzwoitości?

— Pytałem przed chwilą kto jest ten nieznajomy.

— Mówiłem już: to szatan.

Nie wiedziałem w końcu czy gniewać się czyli też dziwić — komedya za długo trwała.

— A więc... on jest rzeczywiście szatanem? zapytałem, starając się zachować zimną krew: rzecz to nader prosta i naturalna. Nie nosi zatem żadnego innego nazwiska?

— I owszem, nazywa się Ferdynand Croce, ale w całem mieście znanym jest pod nazwiskiem szatana.

I odszedł sądząc zapewnie iż po podobnie dokładnem objaśnieniu, nie sposób już o nic więcej zapytać.

W tej chwili jeden z oficerów usłyszawszy rozmowę moją z usługującym, wstał od stołu, przybliżył się do mnie i rzekł z grzecznością:

— Nieznajomy, o którego pan pytałeś, nazywa się Ferdynand Croce, jest on pierwszym tancerzem w tutejszym teatrze. Przydomek szatana, pod którym powszechnie jest znanym, otrzymał nietyle dla swojej posępnej postaci, bo takie twarze nie są rzadkiemi we Włoszech, jak raczej z powodu doskonałości z jaką odgrywa rolę Mefistofelesa w balecie „Faust", która to rola ugruntowała sławę jego w chreograficznej sztuce. Dziś właśnie grają Fausta, może pan będziesz ciekawym zobaczyć miejscowy teatr, który, nawiasem powiedziawszy, do jednej z lepszych scen włoskich policzyć można.

Podziękowałem wojskowemu za jego grzeczność, a wziąwszy afisz do ręki zagłębiłem się w dość szumnym prospekcie ogłoszonego widowiska. Grano operę „Il trovatore", i wyżej wymieniony balet, w którym pod rubryką Mefistofelesa figurowało prawdziwe nazwisko człowieka przedstawiającego się w tyle fantastycznych barwach oczom mojem.

Towarzysze podróży zeszli się wkrótce, pokazałem im afisz i namówiłem z łatwością na widowisko, w skutku czego po śniadaniu podzieliliśmy nasze czynności: jeden z nas podjął się kupić bilety do teatru, ja zaś przyjąłem na siebie obowiązek dopełnić kupna miejsc na statku parowym odchodzącym do Tryestu.

Bióro kompanii Lyolda napełnione było podróżnemi rozlicznych narodowości. Doczekawszy się kolei, przedstawiwszy paszporta, zapłaciwszy za miejsca, zażądałem okazania listy pasażerów, chcąc wiedzieć nazwiska osób z któremi los miał nas za kilkanaście godzin połączyć.

Zaledwie wziąłem do rąk urzędową księgę, następujący napis zwrócił moją uwagę:

„N. 1. Primo posto, Ferdinando Croce, ballerino del grand teatro d'Ancona."

(d. n).

PODRÓŻ DO KRAINY BAJADEREK.*)

Część pierwsza.

Suez, Aden, Moka.

Wbrew zdaniu niektórych podróżopisarzy, którzy po zwiedzeniu okolic Paryża opisują szeroko odległe części kuli ziemskiej, oświadczam śmiało, że podróż morska jest i nadzwyczajnie nudną i nadzwyczajnie męczącą.

W ciągu dziesięcioletniej ustawicznej włóczęgi zwiedziłem prawie wszystkie wyspy Oceanii, Amerykę, Japonią, Indye, Arabię i t. d. i t. d. a jednak nie napotkałem ani jednego marynarza przywiązanego szczerze do obranego zawodu. Ciągły pobyt na morzu przyzwyczaja do lenistwa, pozbawia szlachetniejszych uczuć serca, przygnębia umysł jakąś rdzą trudną do przezwyciężenia i nareszcie czyni człowieka niezdolnym do jakiegokolwiek zajęcia

*) Wiele już napisano o Wschodzie, ale utwory te po większej części były więcej dziełem imaginacyi aniżeli opisem rzeczywistej prawdy. Każdy z piszących jakby pomny na historyą tysiąca i jednej nocy, opowiadał o tej krainie cuda prawdziwe, tak, że czytelnik pomimo najlepszej woli, nie mógł dojść do jasnego pojęcia o obecnym stanie tych okolic, tem więcej ciekawych, że będących niezaprzeczenie pierwotną ojczyzną dzisiejszej cywilizacyi europejskiej. Pan Ludwik Jacolliot wypełnił w części ten brak ogłosiwszy w Paryżu dzieło pod tytułem: „Voyage au pays des Bayaderes." Znajomość języka samskryckiego i niektórych pochodnych dyalektów będących w pospolitem użyciu w Indyach, szczera chęć zbadania prawdy i opowiedzenia nic więcej prócz prawdy, wyróżnia dzieło pana Jacolliot od innych dotyczących tego samego przedmiotu.

oprócz pracy obowiązkowej na okręcie. Życie na morzu jest nadzwyczajnie jednostajnem, ciągle można słyszeć ten sam łoskot maszyny parowej, widzieć jeden i ten sam widnokrąg pusty jak Sahara, zasmucający jak cmentarz, a w dodatku towarzystwo zazwyczaj jak najgorzej dobrane i nudne jak lukrecya.

Cóż więc dziwnego że nie jeden z podróżnych nazajutrz po wstąpieniu na okręt wzdycha z tęsknoty a ziewa ze znudzenia? Cóż dziwnego nareszcie, że po kilkodniowej nawet podróży, wszyscy mieszkańcy okrętu witają z taką radością zarysowany z daleka ląd stały.

Wsiadłszy na okręt w Marsylii, w pięć dni później wylądowałem w Aleksandryi. O morzu Śródziemnem tak jak o jeziorze Genewskiem nie ma nic nowego do powiedzenia. Nie nęciło ono wcale mej ciekawości, bo miałem na względzie cel daleko odleglejszy.

W owym czasie międzymorze Suez nie było jeszcze przekopanem, wypadało przeto z Aleksandryi jechać dalej pociągiem kolei żelaznych i przez Kair odjechać do Suezu. Zaiste jakieś wzruszenie nieokreślone ogarnęło całą moją istotą na myśl, że za przewodnictwem pary przebiegam krainy podległe niegdyś władzy Faraonów.

Myśl moja uleciała do odległej bardzo przeszłości, do owych pokoleń stojących na świeczniku ówczesnej cywilizacyi, wydającej miasta o stu bramach, kanały, jeziora i piramidy będące podziwem dla dzisiejszych inżynierów budowniczych.

Prócz martwych głazów będących niezaprzeczonem ich świadectwem, zaginęły wszelkie inne źródła dotyczące owej epoki. Cywilizacya była niepospolitą, jak to można wnioskować z niektórych jej zabytków, ale pochodnia oświaty zapaloną została w innej stronie, inne ludy powołane zostały do przewodniczenia rodzajowi ludzkiemu, a dawni ludzie wraz z ich dziełami pogrzebani zostali w pyle niepamięci.

W nocy przejechaliśmy przez Kair, a wschodzące słońce zastało nas przerzynających pustynię, podobną do mocno wzburzonego jeziora lub rzeki z powodu wiatru poruszającego pokłady jej piasku. Niezadługo jednak krajobraz coraz bardziej zaczął się ożywiać; coraz częściej napotykaliśmy krajowców postępujących obok długich linii wielbłądów i osłów egipskich niosących na swych grzbietach do portu rozmaite zapasy żywności.

O godzinie szóstej rano pociąg dojechał do stacyi Suez, jeżeli można dać podobną nazwę nędznej budzie drewnianej, którą wspaniałomyślność wicekróla ofiarowała dla podróżujących.

Niezadługo po zatrzymaniu pociągu byliśmy świadkami widowiska nader zabawnego, świadczącego wymownie o smutnym stanie administracyi egipskiej. Należy wiedzieć, że w kraju tym nie ma wcale fabryk flaneli i jedwabiów, krajowcy przeto są nadzwyczajnie chciwymi na te przedmiota, a urzędnicy kolei żelaznej uznali za rzecz nader zyskowną, zaglądać do rzeczy powierzonych ich pieczy i wybierać przedmioty znajdujące łatwy pokup. Biada nieostrożnemu podróżnemu, robiącemu pakunki w Egipcie na sposób europejski, bo za przyjazdem do miejsca przeznaczenia, znajdzie połowę rzeczy a czasami stosunek odbioru bywa jeszcze gorszy. W tamtych okolicach, kto chce zostawić całość wziętych na drogę przedmiotów, to potrzebuje mocnych skrzyni dębowych, okutych żelazem ze wszystkich stron, i zaopatrzonych potrójnemi zamkami z tajemniczym sposobem otworzenia takowych. Trzeba jednak wyznać, że tak jak światło bez cienia, tak nie ma korzyści bez pewnych niedogodności. Czasami bywa, że urzędnicy kolei żelaznej mają dostarczyć kupcom śpiesznie oznaczoną ilość flaneli i jedwabiów, a tymczasem rzeczy podróżnych opakowane zostały tak przezornie, że nie podobna dostać się do ich wnętrza. Konieczność dotrzymania danego słowa, co w handlu bardzo jest uważanem, wprowadza urzędników kolei w bardzo niemiłe usposobienie: mszczą się więc na niedostępnych kufrach, wyrzucając je z wagonów na ziemię tak jak rolnicy zrucają z woza drabiniastego snopy żyta lub pszenicy na puste bojowisko. W czasie mego przyjazdu do Suezu byłem świadkiem podobnego widowiska. Urzędnicy kolei widocznie niezadowoleni, zrucali z taką siłą kufry na kamienie, że łoskot przez nie wydawany był prawdziwie ogłuszającym. Niektórzy podróżni znosili ten stan rzeczy cierpliwie, ale jakiś Anglik wysoki, chudy z długą twarzą przyozdobioną brodą, ale bez wąsów, z włosami rudemi a oczami zamglonemi, jednem słowem prawdziwy typ syna Albionu, zawołał groźnie na posługaczy, aby nie ważyli się dotykać jego skrzyń jeżeli w podobny sposób chcą je spuścić na ziemię.

Czy nie zrozumieli odezwy wymówionej w języku angielskim, czy też nie chcieli zwracać uwagi, dosyć że ogromny kufer z głuchym jękiem upadł na kamienną posadzkę.

— Klnę wam na honor, krzyknął Anglik, że jeżeli dotkniecie mych rzeczy, to was zbiję na miazgę.

W odpowiedzi na to spada drugi kufer tak blizko Anglika, że gdyby był nie uskoczył na bok, to miałby nogi zgruchotane.

Krew uderzyła mu do głowy, na raz stracił swą sztywność i nieruchomość, jednym skokiem jak pantera dostał się na wierzch wagonu i rozpoczął walkę na pięście, z jednej strony wykształconą pod wpływem cywilizacyi europejskiej, z drugiej dziką i nieokrzesaną jak dzisiejsi synowie dawnej krainy Faraonów. Walka na pięści wykształcona pod wpływem cywilizacyi europejskiej! Zaiste wyrażenie podobne wyda się nie jednemu dziwacznem, a jednakże jest prawdziwem, i uzna je każdy za takie, kto tylko raz jeden miał sposobność widzenia prawdziwych bokserów angielskich. Główna różnica zasadza się na tem, że barbarzyniec zazwyczaj zakreśla pięścią łuk na powietrzu kierując ją ku głowie a tymczasem człowiek ucywilizowany wiedząc o tem, że linia prosta jest najbliższą odległością dwóch punktów, bez żadnego zboczenia kieruje pięść swą ku twarzy przeciwnika. Tym sposobem zyskuje na szybkości i na skuteczności uderzenia. Nauka ma zawsze przewagę nad barbarzyństwem, to też i Anglik pomimo liczebnej przewagi zapaśników, prędko został panem pola bitwy, i dwóch posługaczy z pokrwawionemi twarzami leżało w dwóch przeciwnych kątach wagonu, dwóch zaś innych szukało ocalenia w ucieczce. Krzyki jednak walki zwróciły uwagę policyi egipskiej, która otoczywszy wagon zawezwała Anglika do odpowiedzialności.

Nie miałem czasu czekać na rozwiązanie sporu nowego rodzaju, bo doszły do moich uszów skargi na brak rozmaitych przedmiotów w walizach i tłomokach skórzanych.

Przeglądam własne rzeczy i widzę z radością, że skrzynie okute żelazem są nienaruszone, ale że jedyna walizka jaką miałem z sobą ma bok przerznięty nożem i tą drogą wyciągnięto kilkanaście sztuk bielizny. Dla nauczenia urzędników większej sumienności, idę zanieść skargę do konsula.

— Pan przychodzi zanieść skargę o kradzież rzeczy na kolei? rzekł konsul, zanim jeszcze usta otworzyłem.

— Tak panie konsulu, odpowiadam.

— Czy panu zostawiono cokolwiek, czy też zabrano wszystko?

— Moje skrzynie są nienaruszone, ale moja walizka podróżna jest przerżniętą i zabrano część rzeczy wypełniających takową.

— To bardzo szczęśliwie, bo mnie w czasie pierwszego przejazdu zabrano wszystko, tak że w jednej koszuli przybyłem do miejsca przeznaczenia.

— Więc cóż mam robić w takim razie?

— Nic.

— Jakto nic?

— Najzupełniej nic.

Później konsul podszedłszy ku mnie i uścisnąwszy dłoń moją rzekł z uśmiechem:

— Wierzaj mi pan, że gdyby w Egipcie odzyskanym był jeden przedmiot skradziony, to w takim razie znalezionym byłby środek do rozwiązania kwestyi wschodniej.

Za powrotem na stacyą powziąłem wiadomość, że kilka sztuk pieniędzy zaspokoiły zupełnie gniew policyi egipskiej i uchroniły Anglika od wszelkiej odpowiedzialności.

W Suez nie mamy ani jednej chwili czasu do stracenia, bo okręt z odbiciem od lądu oczekiwał jedynie na przybycie pociągu kolei żelaznej.

Podczas lata przepływ przez morze Czerwone jest nadzwyczajnie przykrym, bo nietylko w dzień ale nawet w nocy, uczuwamy nadzwyczajny brak powietrza, a duszność i upał tak wielki, że przytrafiają się bardzo często rozmaite wypadki choroby a nawet śmierci. W ciągu dnia na pokładzie okrętu potrzeba zawsze posługiwać się parasolem i kapeluszem z długą zasłoną białą spuszczoną na tył głowy, bo inaczej promienia słoneczne mogą zabić nieostrożnego w przeciągu kilku minut.

Opuszczając Suez z lewej strony cieśniny można dostrzedz trzy drzewa palmowe oznaczające trzy studnie, wedle tradycyi biblijnej utworzone przez Mojżesza za prostem uderzeniem laski o ziemię.

Morze Czerwone jest nadzwyczaj niebezpiecznem dla przepływających okrętów, z powodu skał podwodnych i szkopułów koralowych ukrytych podstępnie na kilka stóp pod powierzchnią wody.

Po upływie pięciu dni stanęliśmy przy brzegach Aden będących, że się tak wyrazimy, bramą oceanu Indyjskiego.

Miasto Aden położone o milę drogi od brzegów morskich, po za górami skalistemi, zapisanem jest krwawemi zgłoskami w historyi Francyi.

Oficer marynarki Lambert, dokładał starań bardzo troskliwych, aby otrzymać posadę konsula w Aden.

Miał on bardzo rozległe zamiary, bo ubolewał nad niedbalstwem rządu francuzkiego, dozwalającego Anglikom poniżać sztandar Francyi w oczach u ludów wschód zamieszkujących. Wedle objaśnień udzielanych tym ludom przez naszych sąsiadów z drugiej strony kanału, Francya jest państwem zaledwie trzeciego rzędu, nie mogącem udzielić swym sprzymierzeńcom najmniejszych korzyści. Pan Lambert chciał przedewszystkiem okazać siłę Francyi ludom azyatyckim, jako przyzwyczajonym oceniać wartości narodów europejskich jedynie wedle liczby okrętów i armat. W tym celu chciał założyć w poblizkości Adenu kantor francuzki mający być punktem środkowym do zaopatrywania okrętów naszej narodowości we wszelkie podobne im przedmioty.

Chcąc doprowadzić swoje zamiary do pomyślnego zakończenia, pan Lambert człowiek nadzwyczajnie zręczny pozawiązywał bliższe stosunki znajomości z naczelnikami rozmaitych pokoleń arabskich, starając się im uwydatnić ile przewaga Anglików w tamtych okolicach jest szkodliwą dla mieszkańców, że jedyny środek zaradczy zależy na udzieleniu Francyi znacznej przestrzeni ziemi, tak aby miasto Aden otoczonem było posiadłościami francuzkiemi. Jakkolwiek niedowierzanie Arabów jest prawie przy-

słowiem, pomimo tego zręczny nasz konsul potrafił odeprzeć wszelkie zarzuty i obawy; tak że udzielone przedstawienie znajdowało pomiędzy starszyzną coraz więcej zwolenników.

Na nieszczęście komendant angielski czuwał bacznie nad każdym krokiem konsula francuzkiego i tej to czujności przypisać należy, że pewnego dnia pan Lambert zabitym został nad brzegami morza przez koczujących fanatyków, mających pełne kieszenie angielskiego złota.

Boleść komendanta angielskiego była wielką...

W raporcie do swego rządu wyraził największą zgrozę mówiąc o zbrodni popełnionej bez celu i przyczyny, jak tylko dla zadowolenia krwiożerczych popędów ślepej żarliwości religijnej.

Rząd cesarza Napoleona zażądał od rządu Wielkiej Brytanii ukarania złoczyńców, ale otrzymał odpowiedź wraz z rysunkiem pomiarowym wykazującym, że zabójstwo popełnionem zostało kilka stóp po za ostatecznemi obrębami posiadłości angielskich, że zatem Anglia w całej tej sprawie nie może przyjmować najmniejszego udziału, że jednak Francya jeżeli chce może sama ścigać sprawców zabójstwa.

Było to w epoce *szczerego* przymierza z gabinetem Wielkiej Brytanii, odpowiedź zatem podobną wypadło przyjąć bez zmarszczenia i uczynić zadosyć przyjacielskiej radzie.

Wyprawiono przeto okręt na brzegi Arabii, przytrzymano kilkunastu podejrzanych wedle wskazówek angielskich: dwóch ścięto, innych ułaskawiono, i wedle zdania Monitora dziennika urzędowego, honor Francyi został ocalonym, a tymczasem w zarządzie kolonii angielskich śmiano się do rozpuku nazywając nas narodem najwięcej łatwowiernym. Jeden z najwyższych oficerów marynarki wybrany do komisyi w tej mierze, rzekł do mnie te słowa:

W czasie śledztwa czuliśmy aż nadto dobrze rękę obcą kierującą popełnionem zabójstwem, ale przedmiotu tego nie wolno nam było dotykać, ponieważ odebraliśmy rozkaz poprowadzić tak śledztwo, aby zgoda dwóch rządów sąsiednich nie była w niczem nadwerężoną. Sprawa cała zakończoną została ścięciem dwóch ludzi prawdopodobnie niewinnych i zniesieniem konsulatu francuzkiego w Aden.

Zabicie nieszczęśliwego Lamberta nie było wypadkiem odosobnionym, bo napady na europejczyków w Aden ponawiały się od czasu do czasu, a nawet na dni piętnaście przed naszem przybyciem, dwóch oficerów z okrętu wojennego, tak zbito w tem mieście, że ich przyniesiono na okręt bez najmniejszej przytomności. Anglia nie utrzymuje wcale swej załogi w Aden a urzędnicy wybierani przez nią pomiędzy krajowcami, zamiast udzielać opiekę Europejczykom, szukają jedynie środka do obrania ich z pieniędzy, stosownie do okoliczności podstępem lub przemocą. Anglicy nie tają wcale że władza ich nad miastem Aden jest więcej pozorną niż rzeczywistą. Strzeżemy brzegów, mówią oni, bo są one w pewnym względzie wrotami Indyi, ale władza nasza nie sięga dalej jak do tych skał rozciągniętych w pobliżu morza. Kto chce iść do Aden niech idzie, życzymy mu szczęśliwej podróży, ale nie odpowiadamy bynajmniej za jego bezpieczeństwo.

Różne zatem względy nakłaniały nas zaniechać podróży do Aden, ale ponieważ równocześnie z naszym przyjazdem wymienione miasto napełnionem było rozmaitemi pokoleniami Murzynów idących do Mekki dla uczczenia proroka, z tego powodu ciekawość zobaczenia ich przemogła i sześć osób z naszego okrętu postanowiło odbyć podróż nie zupełnie bezpieczną. W liczbie ochotników byłem i ja. Przewodnikiem naszym miał być palacz z okrętu, nazwiskiem Amudu murzyn rodem z Aden, mogący nam udzielić bardzo wiele objaśnień użytecznych.

Przez żart oficerowie z okrętu przypięli mu do boku na pasie czerwonym szablę na wpół zardzewiałą, a ja darowałem mu pistolet. Przedmioty te uszczęśliwiły go nadzwyczajnie, skakał z radości jak dziecię a jako przewodnik idąc naprzód rzekł do mnie:

— Kapitanie! (wszyscy europejczykowie nazywani są przez krajowców kapitanami) jeżeli Mulach nie będzie przyjacielski, to poczuje zapach prochu.

Zapytany o znaczenie niezrozumiałego wyrazu odpowiedział, że Mulach jest to nazwisko księdza mahometańskiego używającego w Aden nadzwyczajnej powagi.

Po półgodzinnej podróży po piasczystej pustyni przybyliśmy nareszcie do angielskiej warowni przecinającej jedyne możliwe przejście przez góry skaliste. Droga zatem wiodąca do Aden pozostaje w mocy Anglików i od strony morza nikt bez ich pozwolenia a przynajmniej bez ich wiedzy nie może wejść do tego miasta.

Niezadługo stanęliśmy na wierzchołku góry i z drugiej jej strony rozpostarty został przed naszemi oczami dziwny obraz, bo jak tylko oko daleko sięgało, nigdzie nie można było dostrzedz nie tylko mieszkania ludzkiego ale najmniejszego krzaczka. Pustynia pokrytą była ogromnemi zaspami piasku, przybierającemi barwę żelaza rozpalonego do czerwoności pod wpływem promieni zachodzącego słońca. Tu i owdzie gromady szakali i hyen szukały niecierpliwie pożywienia rozrucając piasek przedniemi nogami na różne strony.

W półtory godziny później spostrzegliśmy opodal kilkaset domów arabskich ściśniętych jedne przy drugich, a z powodu dachów płaskich pobielonych wapnem, wyglądających jak prawdziwy mogilnik w pośród pustyni. Postać miasta widocznie obudzała jakieś myśli grobowe, niepokojące, bo prawie wszyscy moi towarzysze mimowolnie opatrzyli panewki rewolwerów, a nawet jeden nieznacznie szepnął, czy nie lepiej byłoby wrócić do portu. Powrót jednak był niemożliwym, bo po zachodzie słońca nie wolno przechodzić przez warownię angielską, ani od strony morza ani od strony miasta, a łatwiej byłoby wybudować miasto przy odgłosie liry, wedle podania mitologicznego, aniżeli wzruszyć żołnierza angielskiego stojącego na straży. Na kilka kroków odległości złoczyńcy arabscy mogą zabić podróżnego, mogą go pozreć hyeny lub inne zwierzęta drapieżne, a placówka angielska z bronią na ramieniu, przechadzać się będzie krokiem miarowym nie zwracając prawie uwagi na zaszły wypadek. Nie można było wracać, wstyd nie pozwalał przepędzić nocy na pustyni, wypadało przeto iść naprzód.

Na kilkaset kroków przed miastem, doszedł już do naszych uszów głuchy szmer, przybierający piętna coraz więcej wydatne. W miarę naszego przybliżania się do miasta, nareszcie zamienionym został na krzyki jakieś szalone przy dźwiękach dwóch instrumentów muzycznych tamtam i tebunis.

Widocznie wypito bardzo wiele araku, a prorok jest zadowolonym ze swoich wyznawców, bo ci tłumnie spieszą odbyć świętą pielgrzymkę.

— Jak się to dzieje, zapytuję, że gorliwi muzułmanie piją arak przekraczając tem samem przepisy swego proroka?

— Oh! kapitanie, odpowiedział Amudu, arak wypity przez moich współwyznawców nie był wcale wyrobionym przez białych, ale przywieziony z brzegów Malabaru, a Mahomet zabrania jedynie napoi wyrobionych przez białych, a to jest arak prawdziwy wyrobiony z owoców drzewa kokosowego.

Nie było czasu odpowiedzieć na to rozumowanie szczególne w swoim rodzaju, bo oto przybyliśmy do placu na którym zebranych było mnóstwo Arabów koczujących jakoteż murzynów afrykańskich rozmaitego pochodzenia. Prowadzili oni rozmowę zupełnie przyjacielską, a mimo tego wydawali krzyki ogłuszające przy poruszeniach rąk, nóg i całego ciała tak gwałtownych, że osoby patrzące zdaleka mogły ich uważać za zgraję ludzi szalonych.

Przeszliśmy bez najmniejszej przeszkody przez zebrane tłumy, w pośród których Amudu miał wielu znajomych, bo go witano ze wszystkich stron, na co on odpowiadał uśmiechem lub poruszeniem ręki.

Na przeciwnym brzegu placu był rodzaj tak nazwanego karawanseraju, gdzie sprzedawano po cenach ogromnych piwo angielskie i rodzaj suchego ciasta. Zaledwie usiedliśmy tam na chwilę dla wypoczynku, gdy otoczyło nas kilkudziesięciu Arabów należących do pokoleń koczujących. Jeden chciał nas prowadzić do kawiarni arabskiej, aby poznać smak prawdziwej mokki, drugi do studni odwiecznych, trzeci zapraszał nas przepędzić noc w pośród jego pokolenia koczującego niedaleko od miasta i t. d. i t. d.

W pośród tego zbiegowiska tu i owdzie można było dostrzedz nieszczęsnych synów Izraela, podchodzących bojaźliwie ku nam i zdaleka przedstawiających rozmaite drobne przedmioty do kupna. Tym razem znana przypowieść o pokorze nie znalazła zastosowania, bo zaledwie ich dostrzegła młodzież arabska, rzuciła się na nich z kijami i postronkami przy ogólnym śmiechu osób zebranych.

Położenie żydów w Arabii jest jeszcze nieszczęśliwsze aniżeli był ich stan w Europie w czasie wieków średnich. Wyrażenie, że większą jest zbrodnią ukraść barana aniżeli zabić dziesięciu żydów, jest przysłowiem na Wschodzie malującem wiernie ich tamtejsze położenie.

Postanowiliśmy przedewszystkiem odwiedzić studnie arabskie. Z powodu nocy Amudu przysposobił latarnie a później zapytał nas, ilu potrzebujemy przewodników?

Zapytanie to zadziwiło nas, bo on sam znał doskonale położenie całego miasta, ale wytłomaczył nam, że nie chodzi tu o przewodników, ale raczej o straż przyboczną broniącą nas z obowiązku na wypadek jakiejkolwiek napaści. Amudu wybrał dziesięciu najśmielszych, najwięcej przedsiębierczych a tem samem najniebezpieczniejszych, a czynem tym sprawił to, że ludzie gotowi nas zabić dla obdarcia, teraz gotowi byli dać się posiekać w kawałki dla naszej obrony.

W pośród kilkunastu latarni i otoczeni mnóstwem dzieci przewracających koziołki i wydających okrzyki na cześć naszą, rozpoczęliśmy pochód szczególny w swoim rodzaju. Na zakręcie uliczki usłyszawszy odgłos bębna, podeszliśmy ku pewnemu rodzajowi szopy oświetlonej przez kilka lamp wydających woń nadzwyczaj niemiłą. Wewnątrz arabi i murzyni obojga płci tańczyli w pośród szalonych okrzyków i jeszcze szaleńszych poruszeń ciała. Skoro tylko przestąpiliśmy próg szopy, natychmiast umilkły instrumenta muzyczne, taniec ustał, a złowieszcze spojrzenia tak tanecznikow jakoteż mnóstwa zebranych widzów, dały nam poznać, że obecność nasza przerwała tyle miłą zabawę. Położenie nasze nie było bardzo bezpieczne; otoczeni byliśmy tak liczną gromadą, że na wypadek walki niewątpliwie uleglibyśmy liczebnej przewadze. Nieoszacowany jednak Amudu wyprowadził nas z kłopotu i stanąwszy na ławce zawołał głosem krzykliwym.

— Kapitanowie, których tu widzicie, przybyli z daleka aby podziwiać waszą odwagę, piękność waszego ciała i waszych twarzy, i nareszcie nadzwyczajną zręczność jaką okazujecie w tańcu. Przyszli w odwiedziny a tem samem należy ich przyjąć grzecznie, jako zaś dowód uszanowania kapitanów donoszę wam, że całe zgromadzenie tu obecne zaproszonem

jest na kawę, pijcie do woli ten napój, a oni wszystko zapłacą.

Okrzyki radości były odpowiedzią na tę przemowę a szczególniej zaproszenie na kawę znalazło ogólne uznanie.

Poprowadzono nas do środka szopy, posadzono na ławie wyższej od innych, a gospodarz wbrew zwyczajowi przykrył stół jakąś szmatą czerwoną zastępującą serwetę. Niezadługo wszyscy zebrani pili kawę z upodobaniem, rozpoczęto tańce na nowo, aż nareszcie i nam przyniesiono w garnku blaszanym ów napój tyle ulubiony na Wschodzie. Aden położonem jest o dwie mile od Mokki, podano nam więc kawę najprzedniejszą, a pomimo tego nie mogliśmy jej pić, bo z powodu drogości cukru nie używają go w Arabii, a nie znając młynka do mielenia kawy, tłuką ją w moździerzu, później gotują podając do picia bez przecedzenia.

Dzięki naszemu poczęstunkowi przepędziliśmy jak najspokojniej dwie godziny czasu w pośród Murzynów i Arabów.

Wydatek był nieznaczący, bo zapłaciliśmy za wszystko ośm rupi czyli dwadzieścia franków na monetę francuzką.

(*d. c. n*).

DLA WAS.

Dzięki Wam śliczne i dobre i chrobre,
Bo z Was niejedna ma złe za swe dobre,
Bo wy kochacie, sercem szczerem, całem,
A kiedy w mirtach na swem czole białem,
U stóp ołtarza świętego stajecie,
Myślicie: lepiej byłoby na świecie
Gdyby ci męże, ci wasi panowie,
Więcej coś mieli w swem sercu i głowie.

* *

Idźcież spokojne jednak w życia szranki,
Bóg w górze czuwa — i dziewicze wianki
Wam błogosławi. O żyjcie szczęśliwe
Tam urodziwe i takie uczciwe.

Miron.

Korespondencya z Londynu.

Obok wschodniej, groźnie wysuwa się kwestya chińska. Groźba że barbarzyńcy zaleją Europę. — Oddawanie posad kobietom na stacyach kolei żelaznych. — Vidocq rodzaju żeńskiego. — Odmowa płacenia podatków. — Święta Australii. — Edukacya kobiet. — Profesor Holloway; jego kollegium dla kobiet i pigułki dla... całego świata.— Cudowna działalność ogłoszeń na wielką skalę. — Wuj Tom w Londynie. — Cyganie w Anglii i ich ukryte skarby; zakłócenie miłego spokoju właścicieli wspaniałych willi w Dulwich, z powodu sąsiedztwa cyganów. — Trwoga korporacyi i zakładów miłosiernych w Londynie, z powodu rozciągnięcia kontroli nad ich dochodami. — Królewska Akademia malarstwa; wystawa, odmówione obrazy i współzawodnictwo sir Couts Lindsay. — Autobiografia Hariety Martineau. — Zamęzcia panien Rotschild. — Odezwa rabina Adler.

(Dalszy ciąg).

Nie bierzcie mi za złe, że od kwestyi chińskiej przechodzę prosto do kwestyi kobiecej, ale mam dziś do niej tyle materyału, iż zapełni prawie całą korespondencyą.

I tak z jednej strony dyrektor poczt wydał rozkaz wstrzymania czasowo przyjmowania kobiet na posady w zarządzie pocztowym, ale jakby na zadośćuczynienie, dyrektorowie kolei żelaznych ogłosili: iż w wielu okolicznościach pierwszeństwo do posad dawać będą kobietom. Szczególniej w biurach po stacyach uznano, że daleko korzystniej będzie i dla dyrekcyi i dla publiczności, gdy posady obsadzone będą przez kobiety, jak to miewa miejsce we Francyi, gdyż obecnie mężczyźni tak niedbale spełniają swe obowiązki, iż dyrekcye i gazety zarzucone są skargami i narzekaniami. I to zapewnie skłoniło dyrektorów „Western Railway" że postanowili powierzać kobietom, większą część posad zajmowanych dotąd wyłącznie przez mężczyzn.

Jak dalece kobiety mogą spełniać obowiązki, nawet najsprzeczniejsze z ich naturą i powszechnem przekonaniem, dowodem nowy Vidocq rodzaju żeńskiego, który niedawno przeniósł się do wieczności. Była to jedna z tych awanturniczych, zagadkowych istot, jakby na to jedynie żyjących na świecie, aby uprawdopodobnić najdziwaczniejsze pomysły romansopisarzy. Śmierć jej dała powód do niezliczonych rozpraw jakie obowiązki i czynności spełniać mogą kobiety — jabym sądził że nie ma potrzeby dowodzić do czego kobiety mogą być zdolne w tegoczesnem społeczeństwie, ale raz stanowczo zakreślić granice do jakich należałoby ograniczyć ich porywy, tak bezgraniczne od czasu gdy prawa kobiet stały się pretekstem do rozpraw i sporów filozoficznych.

Kobieta której pogrzeb odbył się niedawno kosztem policyi Scotland Yard, może służyć za uderzający przykład dziwnych anomalii, wydarzających się w obecnym przejściowym jakimś czasie. Ta kobieta będąca członkiem policyi londyńskiej, która przecież równie jak wszyscy nie wiedziała prawdziwego jej nazwiska, znana była powszechnie pod przezwiskiem „Clubnose" (t. j. spłaszczony nos) z powodu że w jakiejś morderczej bójce, tak pospolitej w dzielnicy Doków, nos jej zupełnie prawie został zgnieciony.

Została oskarżoną o udział w morderstwie; rzecz się tak miała: Tragarz jakiś przenoszący baryłkę rumu, został napadnięty i zamordowany przez zgraję kobiet, które obaliwszy go na ziemię, kamieniami roztrzaskały mu czaszkę, i upiwszy się zdobytym trunkiem, wściekłe te furye chciały jeszcze podpalić szopę będącą widownią ich zbrodni. Wtedy policya wmieszała się w tę sprawę i Clubnose wraz z innemi została aresztowana, ale tak umiała się tłumaczyć, że ją niebawem uwolniono. Przed opuszczeniem sądu zwróciła uwagę pisarza na niedołężne prowadzenie całego śledztwa i indagacyi, wykazała ważne szczegóły na które policya nie zwróciła uwagi, tak że wprawiła w podziw i sąd i naczelnika policyi. W kilka lat potem, gdy w Covent Garden straszne popełniono morderstwo, pojawiła się znów w Scotland Yard aby dać policyi pewne wskazówki oznajmiając swoje domniemania, które też okazały się nader trafne i doprowadziły na ślad zbrodniarzy. Policya chciała wynagrodzić ją hojnie, nie chciała wziąć zapłaty.

— Przyjmijcie mnie do swoich usług, innej nagrody nie przyjmę i nie żądam — odpowiedziała:

Było to żądanie dziwne niezwykłe, jednak po długiej naradzie została przyjętą i Clubnose zaliczono do policyi londyńskiej. Dano jej zaraz świstawkę, ślepą latarkę i tak zwaną czarodziejską rzegotkę, na której odgłos zbiegają się nietylko policmeni ale wszyscy stróże nocni czuwający w nie zbyt dalekiej odległości. Było to właśnie wówczas gdy spiskujący na życie cesarza Napoleona III, ścigani przez policyą paryzką, gromadami przybywali i tam głodni i bez sposobu do życia, knuli projekta zemsty i nienawiści.

Rząd francuzki odniósł się do policyi angielskiej aby ich miała na oku i wtedy Clubnose oddawała nieocenione usługi. · Francuzi nie bronili kobietom wstępu na swe tajne zebrania, i dlatego Scotland Yard polecił jej aby zdawała sprawę ze wszystkiego co się działo w klubie głównym, odbywającym swe posiedzenia pod strychem, około Oxford-Market, przy John street. Właściciel domu dał się nakłonić do tego iż przedstawił spiskowym Clubnose jako swoją siostrę, która podczas przerw w rozprawach przynosić im będzie dla orzeźwienia piwo i fajki; nie rozumiała ani słowa po francuzku, posiadała przecież tak doskonały zmysł policyjny, iż potrafiła poznać przywódzców spisku i rysopis ich podała policyi. Utrzymują że zegarek złoty jaki nosiła przy sobie, był to podarunek nadesłany jej przez pana Pietri, prefekta policyi Paryża, w dowód wdzięczności za oddane usługi.

Ilekroć popełniono jakąś zbrodnię czy morderstwo, których sprawców policya wyśledzić nie mogła, zadanie to powierzano Clubnose, a ona nie wahała się choćby cały kraj przejść miała trafiwszy na ślad zbrodniarzy, i zawsze dochodziła zamierzonego celu. Podczas spisku fenianów w Irlandyi, gdy zabójstwa i pożary stały na porządku dziennym, dziwna ta kobieta niezliczone społeczeństwu oddała usługi. To też od owego czasu, pułkownik Henderson jej zawsze powierzał wyśledzenie zabójców. Była tak nieustraszenie odważną iż bez wahania wdzierała się do najniebezpieczniejszych kryjówek zbrodniarzy, do których najśmielsi policmeni wejśćby się nie poważyli. Jej obejście i wysłowienia tchnące najgorszym motłochem, oraz doskonała znajomość ich szwargotu, zjednywały jej zaufanie zbrodniarzy, i podczas długoletniej swej służby dwa razy tylko przeczuli w niej ajenta policyjnego. Tropiąc ślad jakiegoś mordercy, dostała się do nory zbójeckiej, urządzonej gdzieś pod strychem; zbili ją i na wpółmartwą oknem wyrzucili na bruk na którym złamała obie nogi; jednak lecąc miała tyle przytomności iż zakołatała w rzegotkę: na ten znak policya się zbiegła, ją zemdloną uniosła a łotrów schwytała.

Pewnego razu polecono jej wyśledzić bandę fałszerzy pieniędzy, którzy przebywali z kolei we wszystkich wielkich miastach Europy, wywodząc w pole policye wszystkich krajów. Mieścili się w nędznym domku w ciemnej uliczce bez wyjścia, którego drzwi były zawsze zamknięte i zabarykadowane z wewnątrz. Tylko podstępem można się było tam dostać. Udając śpiewaczkę uliczną, stanęła na rogu uliczki, wyśpiewując najcyniczniejsze śpiewki, przez co nie obudzała podejrzeń złoczyńców; stopniowo coraz dalej posuwała się nieznacznie w uliczkę i spostrzegła że z najnędzniejszej rudery od czasu do czasu ostrożnie wychodziła mała dziewczynka i rozejrzawszy się do koła, wracała do sieni starannie drzwi zamykając za sobą. Clubnose nie przestając śpiewać, powoli podchodziła ku temu domowi i tak dobrze czas obliczyła, iż była tuż przed nim właśnie w chwili gdy mała dziewczynka wyszła i wtedy udając zemdlenie padła w poprzek progu. Dziewczynka wróciła natychmiast, żebraczka jęczała tak okropnie że dziecku żal się jej zrobiło: nie miała odwagi wyrzucić ją na bruk a niepodobna było dłużej trzymać drzwi otwartych, pozwoliła więc jej wejść do sieni,i spocząć chwilkę, a sama pobiegła przynieść jej wody. W tym krótkim przeciągu czasu, Clubnose zdołała zajrzeć do wielkiej izby w której pracowali fałszerze. Na nieszczęście w tej właśnie chwili zobaczył ją naczelnik bandy, wychodzący z piwnicy z wielką sztabą ołowiu w ręku; zapytał szwargotem po co przyszła, odpowiedziała tymże złodziejskim językiem iż należy do bandy i przyszła przestrzedz że policya ma ich na oku. A hasło? zapytał. Nie mogąc odpowiedzieć na to czuła się zgubioną i zagwizdała w świstawkę, uciekając ku drzwiom. Rozwścieczony fałszerz tak silnie sztabą ołowiu ude-

rzył ją w głowę że rozciął jej czaszkę; padła krwią zalana, a banda sądząc że już nieżywa, zaczęła uciekać depcząc po niej. Przywódzcę i część bandy schwytano; Clubnose była długo między życiem a śmiercią, ocaliło ją trepanowanie.

Odzyskawszy siły, Clubnose wróciła do swoich obowiązków, ale odtąd już nie tak trudne powierzano jej zadania. — została dozorczynią chorych. Gdy tylko popełniono zabójstwo w jakimś z zaułków Londynu, szła do doktora parafialnego, ofiarując swoje usługi. Wiedziała bowiem że kumoszki schodzące się przy łożu chorej; zawsze niemal wygadają się z czemś co naprowadzi na ślad złoczyńców. Iluż to zbrodniarzy dostało się w ręce sprawiedliwości, dzięki jej współdziałaniu. To też dyrektor policyi bardzo ubolewa nad stratą, tak czynnego i przebiegłego agenta którego nie łatwo zastąpić. Gdyby kobieta ta, tak odważna, energiczna, bystra i wytrwała, odebrała była odpowiednie umysłowe i religijno-moralne ukształcenie, mogłaby stać się ozdobą i chlubą płci swojej.

Od tej zadziwiającej, ale nie zbyt sympatycznej istoty, przejdźmy do kobiety przed którą każdy z poszanowaniem pochylić musi czoło, a którą od dawna nazywano w pismach „świętą Australii." Jeźli od lat kilku rzadziej spotykaliśmy w dziennikach nazwisko Karoliny Chisholm, to dla tego że długa i ciężka choroba jaka niedawno właśnie przecięła pasmo jej dni, zmusiła ją ograniczyć swą działalność. Czy przypominacie sobie, dzieło Micheleta wydane w r. 1850 p. t. *La femme?* jest w niem cały rozdział noszący tytuł: *Kobieta, protektorka kobiet*, zaczynający się od tych słów: „Piąta część świata, Australia, posiada jedną tylko legendę, jedną świętą, a jest nią angielka, która oddała tam swej ojczyźnie nadzwyczaj ważne usługi a dla Australii zrobiła stokroć więcej niż wszystkie razem stowarzyszenia emigracyjne, i to bez niczyjej pomocy i bez majątku. Rząd Wielkiej-Brytanii, tak bogaty i tak potężny, władzca Indyi, to jest państwa posiadającego 120 milionów mieszkańców, doznawał ciągłych niepowodzeń w kolonizowaniu tej części świata na którem tak wiele mu zależało, a jednak czego nie dokazały usiłowania rządu, dokonała jednak kobieta, dzięki jedynie swej nieprzebranej dobroci, wzniosłości serca i mocy duszy.

„Cały ten rozdział poświęcony pochwale Karoliny Chisholm, napisany jest ognistym i namiętnym stylem, autor mówi iż brak mu wyrazów na oddanie należnej czci tej „nadzwyczajnej kobiecie" — w tym razie, wbrew zwyczajowi swemu Michelet nic nie przesadził.

Karolina urodziła się w hrabstwie Northampton, w r. 1810; mając lat dwadzieścia pięć zaślubiła kapitana Chisholm, służącego w armii indyjskiej. Po ślubie udała się z mężem do Madras, i zamiast podziwu i uwielbienia jakiem przejęci zostają zazwyczaj Europejczycy na widok przepysznej przyrody Wschodu, uczuła niewysłowiony wstręt i przerażenie patrząc na straszny upadek moralny i poniżenie krajowców, którym występna gnusność i niedbalstwo rządu angielskiego, bynajmniej nie starały się zapobiedz. Widząc jakie mnóstwo dziewcząt schodzi z drogi cnoty, skutkiem rozprzężenia obyczajów, choć tak młoda i bez żadnych zasobów majątkowych, postanowiła sobie ratować te młode dusze z otchłani zepsucia. Która tylko z tych nieszczęsnych istot chciała porzucić gorszące życie, przyjmowała ją do siebie, — pomimo przełożeń żon innych oficerów, uważających takie postępowanie za ubliżające i osiadłszy w ustronnem miejscu, sama uczyła je i oświecała, zamieniając je w uczciwe i moralne kobiety. Pierwsze zaraz jej próby tak pomyślnym zostały uwieńczone skutkiem, iż niezadługo mogła założyć „Szkołę przemysłową" którą wszystkie damy w Madras otoczyły opieką i która obecnie znaczne bardzo przybrała rozmiary. Po dwuletnim pobycie w Madras, zmuszona była opuścić to miasto którego klimat bardzo nie służył jej mężowi, z powszechnym żalem mieszkańców uważających ją za anioła opiekuńczego sierot i tych nieszczęśliwych istot.

Opuściwszy Indye, kapitan Chisholm udał się do Australii, aby tam odzyskać bardzo nadwerężone zdrowie, i tam też żona jego rozwinęła głównie swe chlubne i święte posłannictwo. Opatrzność przeznaczyła Karolinę Chisholm na prawdziwą założycielkę tych oddalonych krain, aż do owego czasu pogardzanych przez ludzi uczciwych pomimo prześlicznego klimatu i niezliczonych zasobów, a to z powodu że pierwotnie urządzano tam tylko osady karne, gdzie wysełano wyrzutków z galer i więzień.

Przybywszy do Sydney, Karolina spotkała tam kilka rodzin, które wyemigrowawszy z północy Szkocyi, zostawały w wielkiej pogrążone nędzy i nie znały żadnego języka prócz swego narzecza. Obmyśliła im zajęcie; kupiła taczki i potrzebne narzędzia i wysełała rąbać drzewo w okolicznych lasach, które następnie dowozili na sprzedaż do miasta. Ocaliwszy tym sposobem biednych wygnańców od głodu i bezrobocia na które skazywała ich nieznajomość języka angielskiego, postanowiła stawić zaporę szerzeniu się moralnej zgnilizny starego świata, która w tej zaledwie z kolebki wyłaniającej się kolonii, przerażające zaczynała robić postępy. Domy miłosierdzia w Londynie, chcąc ulżyć sobie nadmiaru ciężaru, jaki wkładało na nie utrzymanie zbyt wielkiej liczby sierot, wysełały setki młodych dziewcząt do Sydney; otóż pani Chisholm przekonała się że zaledwie okręt zawinął do portu, biedne te istoty zaraz z chwilą wylądowania stawały się łupem niegodziwych faktorów. Daremnie udawała się do wszystkich władz miejscowych, wzywając aby jej dopomogły bronić biednych tych istot, aby nie wpadły w sidła zepsucia jakie im ze wszech stron stawiano. Nie mogąc nigdzie nic wskórać, szlachetna ta i prawdziwie „mężna niewiasta" nie zważając na przesądy, sama, bez poparcia i pomocy, przedsięwzięła i dokonała olbrzymiego zadania, dzięki któremu powstała w antypodach druga Anglia, dziś już silna i niepodległa, i która w niedalekiej może przyszłości, dorówna potęgą matce ojczyźnie.

(d. c. n.)

Z CAŁEGO ŚWIATA.

II.

Dawne czasy. — Pani de Deffand i panna Lespinasse. — Salony arystokracyi ducha, rezydenci. — Jean Paul o krytykach. — Dzieło p. Mohra o Hiszpanii. — Offenbach w Ameryce.

Uroczyste obchody wielkich rocznic albo urodzin wielkich ludzi, przypominają światu współczesnemu, że i on nie do poziomych stworzony zadań.

Czy świat bierze to do serca? Ledwo, a jednak chyli kornie czoło na wspomnienie o pięknym czynie albo wielkiem dziele.

Jest to oznaką szacunku, ale jest poniekąd i wyrzutem sumienia. Azaliż wobec wielu a wielu rzeczy pięknych lub choćby tylko trwałych z przeszłości, nie przychodzi na myśl wszystkim i każdemu z osobna:

Jakto, więc byli tak zacni, tak oględni, tak wielcy w swej pokorze, którzy zrobili rzeczy olbrzymie dla potomności, boć przecie i ja, i my korzystamy z owoców ich pracy — a my — a ja, cóż przekażemy tej potomności?

Może kto powie, że *postęp?* Gdybyśmy chcieli sumiennie owoce ocenić jego, to odpowiedź wypadłaby zupełnie przeczącą. Ileżby to trzeba dusz szlachetnych, ludzi umoralnionych, żeby przyznać, iż szedł ręka w rękę z moralnemi obowiązkami ludzkości.

Ubiegły jednak wiek nosi więcej cech wybitnych, może dlatego tak wyraźnych, że należą już do historyi, że można patrzeć na nie chłodniej. Wiek to wstrząśnień najróżnorodniejszych. Odznaczał się oraz tem, że ilekroć które społeczeństwo znalazło się na pochyłości moralnej, zjawiały się zaraz i usiłowania wielkie, pragnące podtrzymać bodaj cień piękna, prawdy i dobra.

Odznaczała się tem szczególniej Francya, a wyłącznie tak zwana „arystokracya ducha."

Nie była ona tem, czem dziś niekiedy nazywają arystokracyę umysłową. Dzisiejszej braknie ognisk, tamta je miała. Były niemi salony paryzkie, oczywiście nie te konwencyonalne i nie owe paradne i modne, choć to wszystko łączyły w sobie

Panowanie arystokracyi ducha — *esprit*, bystrego umysłu, miało znaczenie niemałe, gdyż w salonach jej panowała, musiała panować przyzwoitość, były to słowem oazy obyczajowe w psującem się społeczeństwie francuzkiem.

Wszechwładny *esprit* zniewalał do poskramiania namiętności, które w oczach ówczesnych ludzi (wyłącznie we Francyi) wieść mogły do wielkości (?) albo do nicości. Według nich jednak ów duch nie pozwalał na takie końcowe zboczenia. Zadaniem jego było przedmiotowe, filozoficzne niemal zapatrywanie się na świat. Szło im nadewszystko o spokój duszy, o równowagę wszelkich uczuć.

Były to cnoty wprawdzie natury problematycznej, ale zawsze resztki cnót, pozostałości lepszych pocuć.

Nie wszyscy z owych ludzi salonów byli ludźmi czynu. niejeden lub niejedna, gdyż były i kobiety, nie spisali ani jednego tomu, a jednak pamięć została po nich.

Z pamiętników tylko, z listów niekiedy cytowanych dowiedzieć się można, jak w przybliżeniu wyglądał ten świat arystokracyi ducha — całości nigdzie.

W roku ubiegłym minęło sto lat, jak w 1776 ostatnia reprezentantka tego świata życie zakończyła. Była nią panna Lespinasse.

Urodziła się w Lugdunie w r. 1732, lecz niestety, ojca nie znała. To istotne nieszczęście zamykało jej niemal drogę do towarzystwa, a jednak tylko umysłem zdołało zająć miejsce niepoślednie, gdyż nie była i piękna. Wychowana w klasztorze, skończywszy nauki, wróciła do domu matki, ale zawiść jej rodzeństwa — matka jej bowiem wyszła za hr. Albionu — zawiść tedy wypędziła ją z domu matki.

Dwieście franków, które stanowiły resztę od całego przekazanego jej przez matkę majątku, były zaiste zbyt niedostateczne na utrzymanie.

Została więc zmuszoną do przyjęcia obowiązków w pewnym domu u rodziny, od której zniosła dużo, co jednak nie wpłynęło szkodliwie na rozwój jej zdolności umysłowych.

Stanowczy zwrot zaszedł w jej życiu, gdy się dostała do domu słynnej margrabiny de Deffand w Paryżu.

U pani Deffand był właśnie taki salon znakomitości umysłowych, o jakim wspomnieliśmy wyżej. Bywali tam artyści, dostojnicy kościoła, państwa i literaci. Najżarliwszymi wielbicielami umysłu i dowcipu pani Deffand byli Horacy Walpole i d'Alembert. Margrabina była już niemal staruszką, gdyż 57-letnią damą, gdy w dom jej, do jej salo-

nu przybyła panna Lespinasse, naówczas 22 lat wieku licząca.

Margrabina uczuła ku panience pociąg, i wzięła ją jako towarzyszkę i lektorkę, straciła bowiem wzrok zupełnie. Tu zaczęła poznawać panna świat wielki i uczyć się mówić a oraz słuchać, gdyż i to jest sztuką, jeźli idzie o wyciągnięcie korzyści z rzeczy słyszanych.

A mówić zajmująco, niekiedy podnieść, dodać nawet szczyptę ironii — ale nie owego gryzącego wszystko szyderstwa, tak mówić należało do dobrego tonu w salonach, w których panować był powinien duch, podniosłość umysłowa i umiarkowanie.

Dziesięć lat panowała najzupełniejsza zgoda pomiędzy margrabiną a towarzyszką jej, która rozwijała coraz więcej zdolności umysłowych. Przyszło na nieszczęście do nieporozumień z powodu na pozór błahego, lecz dającego poznać, jak dalece posuniętą była drażliwość, jak subtelne względy panowały w łonie owej „arystokracyi ducha.“

Pani de Deffand pisała do panny Lespinasse zanim jeszcze zawiązał się stosunek ściślejszy.

„Muszę co do pewnego punktu rozmówić się z panią otwarcie, ażebyś wiedziała, czegobym nie zniosła. Otóż nieznośną by się stała dla mnie wszelka nieszczerość, choćby nawet cień nieszczerości w stosunkach domowych. Jestem podejrzliwą, a o kimkolwiek przekonam się, że działa podstępnie, temu nie zaufam już nigdy. Mam dwóch przyjaciół, których szanuję i cenię przed innymi. Są niemi Formont i d'Alembert, których cenię nie tyle z tego powodu, że są ujmującymi w towarzystwie, ile raczej dlatego, że miłują nadewszystko prawdę.

(*d. n*).

Przegląd literacki.

Córa Hamilkara, powieść Gustawa Flauberta przekład na język polski przez Natalią D. Kraków 1876.

Zmarły w roku zeszłym powieściopisarz francuzki Flaubert należał do szkoły realistów, a w ostatnich swoich powieściach (Madame Bovary i innych) pogrążył się z upodobaniem w brudach i popisywał się z nagim cynizmem. Niniejsza powieść, która w oryginale nosi tytuł ,,Salambo", wydana przed kilkunastoma laty, należy jeszcze do wcześniejszego, lepszego okresu działalności pisarskiej Flauberta. Jest to opowiadanie osnute na tle starożytnem, a mianowicie wzięte z historyi Kartaginy, pomiędzy pierwszą a drugą wojną punicką. W ostatnich czasach na miejscu, gdzie rozpierała się starożytna królowa mórz Kartagina, dokonano ważnych odkryć topograficznych, wynaleziono wiele posągów i napisów, na których opierając się uczeni, przeważnie francuzcy, uzupełnili niedokładny obraz życia i obyczajów społeczności kartagińskiej, pozostawiony nam przez pisarzy łacińskich. Odkrycia te sprawiły w świecie uczonym i pomiędzy wykształconą publicznością silne wrażenie. Flaubert rzucił się również z zapałem do tych studyów, których owocem była powieść Salambo. Pod tym względem jest to istotnie arcydzieło: przeczytawszy je, można poznać dokładnie nietylko wszystkie drobiazgowe szczegóły prywatnego życia dawnych Kartagińczyków, ich zmateryalizowane obyczaje, niesłychane zbytki, okrutne religijne obrzędy, ludzkie ofiary na cześć Molocha, pychę zbogaconych kupców i nędzę niewolników, ale nadto autor wtajemnicza nas w istotę rządów i polityki samolubnej oligarchii, w walkę dwóch stronnictw — Hanrona i Barkasa, w organizacyą wojenną repabliki, jej handel i przemysł; nawet szczegóły topograficzne, tyczące się samego miasta Kartaginy i jego okolic, skreślone są wiernie i z wszelką skrupulatnością. Francuzcy powieściopisarze, dotykając świata klasycznego, nie bywają w ogóle tak sumienni i skrupulatni; Flaubert stanowi pod tym względem chlubny wyjątek: na każdej stronicy znać owoc sumiennych, często nawet drobiazgowych studyów, anochronizmów zaś tak dobrze jak nie napotykamy wcale. Jest to więc przedewszystkiem romans archeologiczny, pouczający: żywioł właściwie romansowy — utwór wyobraźni poety — zajmuje tu rolę podręczną. Intryga nie jest nawet skomplikowaną ani zajmującą: zdawałoby się owszem, że autor dla tego tylko wymyśla różne sytuacye, aby oprowadzić czytelnika to po pałacach i ogrodach Hamilkara, to po świątyniach bóstw, to po ulicach i placach miasta, to wreszcie po okolicach Kartaginy i obszarach wojennych. Głównym wypadkiem historycznym, który jest osią opowiadania, jest bunt najemnego wojska rzeczypospolitej po ukończeniu wojny z Rzymianami — okrucieństwa tej zbieranej tłuszczy i niemniej okrutne jej wytępienie przez Hamilkara, ojca Hanibalowego. Mordów, pożogi, walk, krwi i wszelkiego rodzaju okrucieństw, z zimną krwią w duchu bezlitośnej owej epoki pogańskiej popełnianych, jest nawet w książce Flauberta stanowczo za wiele: dogadza on tu zepsutemu smakowi tych warstw publiczności francuzkiej, która rozkoszuje się najstraszniejszemi okrucieństwami, dla której Traupmann był bohaterem, a place Grève i La Roquette, gdzie tracono zbrodniarzy— najmilszem widowiskiem. Bohaterką powieści jest Salambo, córka Hamilkara — dziewica marząca, oddana praktykom ciemnego mistycyzmu, który w religiach ludów semityckich tak ważną odegrywał rolę. Autor maluje te praktyki z ogromną erudycyą, odsłaniając rzeczy zupełnie nowe i przedtem nieznane. Dalsze przygody Salambo nie są zbyt budujące, a to, co autor wystawia, jako jej bohaterskie poświęcenie, choć zgodne z obyczajami i nawet religijnemi praktykami owych czasów, dla nas wygląda zbyt rażąco. Postać bohaterki może wzbudzać sympatyą, jako ofiary religijnych i politycznych wpływów rozpasanej epoki pogaństwa. Ojciec bohaterki Hamilkar niewiele wzbudza sympatyi: autor uwydatnił w nim rozum i przebiegłość, właściwą ludom semickim, ale zresztą wystawił go równym egoistą i okrutnikiem jak i reszta arystokratów. Przeciciwnik Hamilkara, kolega jego w godności sufeta (króla) Hanon — to doskonały typ żarłoka i sybaryty, kartagiński Witeliusz swego rodzaju. Opis bogactw Hamilkara i zbytków Hannona, choć może nieściśle historyczny, nie jest jednak przesadzonym i daje miarę Krezusów i Lukulusów owych czasów. Mały Hanibal — przyszły mściciel dogorywającej Kartaginy — ukazuje się jeszcze chłopięciem, uratowanem od strasznej ofiary dzieci, które wrzucano w rozpalony żelazny posąg Molocha. Skoro kapłani i senat postanowili, że każda rodzina ma dać swoje dziecko na tę potworną ofiarę, nikt nie był od niej wolnym i nie mógł się wymówić — od króla do wyrobnika. Opis tych ofiar skreślony z przerażającą dokładnością. O innych postaciach, do akcyi wchodzących i mówić niewarto: żołdacy, nawet wybitniejsi z pomiędzy nich Spindius i Maton — to wstrętne typy, winem i krwią pijane, dzikie jak bestye pustyni. Zakończenie powieści—śmierć katowanego Matona i nagły zgon Salambo, na własnej uczcie weselnej — dopełnia czary przerażających okropności, któremi przepełniona jest książka.

Z powyższego rozbioru pokazuje się, że obok rzeczy ciekawych i pouczających, w utworze Flauberta jest także wiele pokarmu niezdrowego. Jak zwykle na świecie jedno i drugie znajdzie miłośników, którzy rozkoszując się w jednym z tych żywiołów, pominą drugi. Wypada więc nam tylko życzyć, ażeby jak najwięcej znalazło się czytelników i czytelniczek, które przełożą szczegóły i rysy nauczające nad wstrętne i denerwujące i tylko z tem zastrzeżeniem możemy polecić dzieło, o którem mowa.

W końcu wypada nam jeszcze dodać, że przekład polski jest niefortunny. Tłómacz nietylko zdradza brak wszelkiej wprawy literackiej ale nawet często okazuje nieznajomość zasad stylu i prawideł gramatyki. Wielka to ujma dla książki, że nikt nie podjął się poprawienia przekładu pod względem stylu i języka. O galicyzmach, wypływających ze zbyt niewolniczego trzymania się oryginału, już nie ma co i wspominać: pełno ich na każdej stronicy. *W.*

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Pułkownikowi Z. w Witebsku. Za posłaną książkę wraz z jej przesyłką należy się nam kop. 56.

Pani Elizie P. w Holkowińcach. Od przesyłki książek pozostało w depozycie naszym kop. 89.

Pani Zofii B. w Temir-chan-Szurze. Rs. 487 w kilku oddzielnych przesyłkach odebraliśmy. Sprawunki częściowo w pakach wysyłamy, ostatnia partya odejdzie wraz z aksamitem i książką szanownej sąsiadki.

Pani Zofii J. w Podgaju. Paka z obiciami, firankami i t. d. odeszła do Szawel w dniu 27 b. m. kwit frachtowy natychmiast w liście odesłaliśmy. Frendzle i kwiaty do mebli i portyer wyślemy osobno pocztą, gdyż nie mogły być na czas ukończone. Paka asekurowana na rs. 350.

Pani Rucie S. w Uciesze. Do nut posłanych dodaliśmy kop. 70. Na każdym kajecie cena jest napisana ołówkiem.

Pani Annie K. w Proskurowie. Od posłanych włóczek pozostało kop. 9, które marką pocztową odesłaliśmy.

Pani K. w Poniewieżu. Obiedwie książeczki Jeskego wysłane. Pieniądze wystarczyły.

Pani Stanisławie L. w Malinikach. Natychmiast po otrzymaniu właściwego adresu paczkę wysłaliśmy. Za zwrót naddanych pieniędzy dziękujemy.

Pani S. w Pieczychwostach. Dziecinne francuzkie pisemko zaprenumerowane półrocznie kosztuje rs. 3. 75. postaje w depozycie naszym kop. 25.

Pani Emilii B. w Odessie. Do przysłanej książki dołożyliśmy kop. 51.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 26 Мая (7 Іюня) 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.



Opis do N. 23.

(dokończenie).

N. 1. Koroneczka do ryc. 41—44.

Gładkie ciemne szlaki 2½ cent. szerokie są z weby szafirowej; ryc. 12 załącza deseń wyszycia na spadającym brzegu serwety. Odpowiednie do takiego stolika krzesełka składane przedstawiliśmy na ryc. 17—18. Ryciny 14 i 15 podają desenie na ścieg krzyżykowy.

N. 19. Opis przy ryc. 27 w N-rze 22.

N. 20—21. Kołnierzyki marynarskie dla dzieci.

Na ryc. 20—21 podajemy dwie zupełnie odmienne formy marynarskich kołnierzyków;

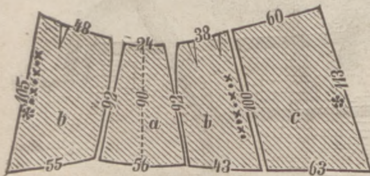


N. 5. Stanik z frakową baskiną. Krój na arkuszu N. III Fig. 9—12.

pierwszy składa się z wązkich płóciennych plisek spajanych kratką ażurową, drugi odrobiony jest robotą koronkową ręczną na poduszce przy pomocy szpilek.

N. 22—24. Staniczek spodni dla małych dziewczynek. Robota szydełkowa i na drutach z bawełny estramadury N. 4 i 6½.

Bardzo łatwy do odrobienia staniczek jaki załącza ryc. 22 liczy 20 cent. długości a 45 szerokości i robiony jest wzdłuż ściegiem w prążki (w którym zajmuje się zawsze za tylną nitkę oczek poprzedzającego rzędu). Rękawki robią



N. 8. Wskazanie kroju tuniki do ryc. 39.



N. 3. Ubranie wieczorowe. Modele wachlarzy.



N. 6—7. Paletociki z dwojakiego materyału

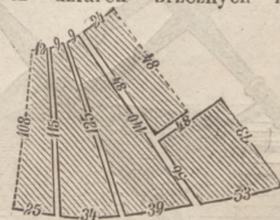


się na drutach w kółko i po skończeniu wszywają. Robota szydełkowa staniczka, przedstawiona w naturalnej wielkości na ryc. 23 zaczyna się od tylnego brzegu prawej połowy pleców stanika, na 68 oczek. Przerobiwszy dwa rzędy robią się dziurki do zapinania stanika, na które co 8 o. śc. robić 4 o. pow.; dalej następuje 25 rzędów po czem zaczyna się pacha na którą w 26-tym rzędzie robi się od dołu do góry tylko 50 o. a w czterech następnych rzędach jeszcze po 1 o. mniej tj. że do 47 oczek, dalej następuje klinik u dołu gorseta; pierwszy i 2-gi rząd którego liczy po 8 o., trzeci i 4-ty po 13, piąty i 6-ty po 20, siódmy i 8-my po 25 o. poczem w kliniku gubią się oczy tą samą koleją jaką się przybierały. Zrobiwszy klinik robi się znów rzędy długie w których dokończa się pacha, a na ramiączko przyrabia się o. 30 które przerabia się 3 razy. Skończywszy ramiączko robi się dalej przód stanika na o. 65; po 11 rzędach zaczyna się pierwsza zaszewka którą robi się rzędami stopniowo coraz dłuższemi; pierwszy rząd liczy 5 o., piąty 25. Dziewięć rzędów przerobionych w całej długości kończą połowę stanika; druga odrabia tak samo lecz w odwrotnym kierunku i bez dziurek brzeżnych które

N. 2. Koroneczka do ryc. 41—44.



N. 4. Chusteczka kaszmirowa. Patrz ryc. 27 w N-rze 22. Krój i deseń na arkuszu N. X, Fig. 30—31.



N. 9. Wskazanie kroju spódnicy, do ryc. 40.

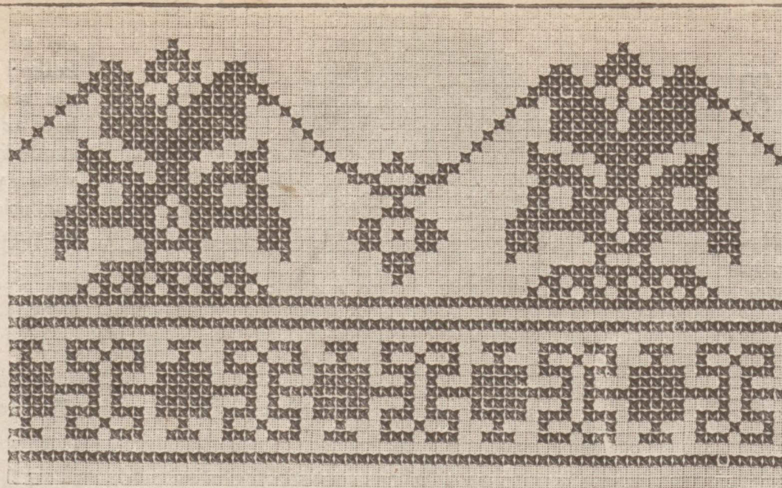
zastąpione są rzędem guzików. Rycina 24 załącza zakończenie rękawka.

N. 25. Staniczek spodni z przypiętemi pończochami dla dzieci lat 2—4. Krój stanika na arkuszu N. VIII, Fig. 25—26.

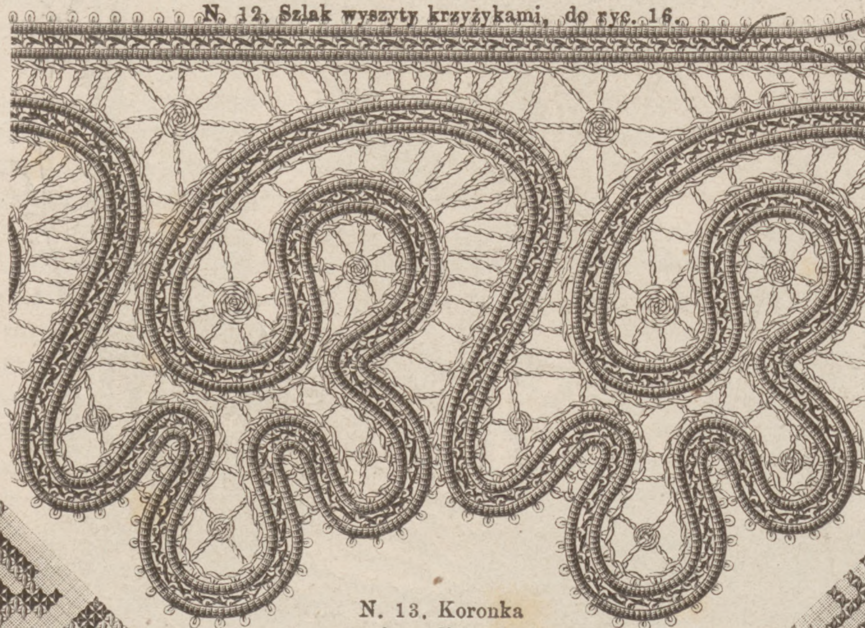


N. 10. Kapelusz z szerokiem rondem.

Staniczek skrojony z barchanu lub perkalu w jednym ciągu podług Fig. 25—26 zapina się z tyłu na guziczki; maleńkie rękawki oszyte są ząbkami; na 5 cent. od dolnego brzegu podszyta jest $2\frac{1}{2}$ cent. szeroka listewka na której przyszywa się guziki służące do przypinania ubrania. Na ryc. 25 widzimy pończoszki praktycznie przypięte na gumowych paskach 12 cent. długich. Paski te u góry mają przyszyty kawałek płótna z odrobioną dziurką do zapięcia na guzik, a u dołu na tasiemki wiążą się z pończochą. Chroni to od opadania pończoszek a jeszcze bardziej od zbyt ścisłego przywiązywania lub ciasnych podwiązek które są szkodliwe dla zdrowia.



N. 12. Szlak wyszyty krzyżykami, do ryc. 16.



N. 13. Koronka z mignardisse spajanej ściegiem koronkowym do ryc. 16.

N. 14. Czwarta część desenia na serwetę do ryc. 16. Ścieg krzyżykowy.

N. 15. Czwarta część desenia na serwetę ryc. 16. Ścieg krzyżykowy.



N. 16. Stoliczek do ogrodowej altany, i serweta haftowana. Patrz ryc. 12—15.

N. 26 i 27. Majteczki i spódniczka przypinana do stanika spodniego. Krój majtek na arkuszu N. VII, Fig. 24.

Majtki urządzone do zapinania z boków krają się podług Fig. 24; pasek $3\frac{1}{2}$ cent. szeroki opatrzony jest dziurkami za które majteczki przypinają się do stanicka. Spódniczka barchanowa ozdobiona jest u dołu kolorowym szlaczkiem i ząbkami.

N. 28. Sukieneczka skośno zapinana, dla małego dziecka. Krój w dodatku N. V, Fig. 18—22.



N. 11. Kapelusz z rondem odwiniętem z boku.

Na Fig. 18 przy brzegu przodu zachodzącego na wierzch do skośnego zapięcia, odznaczony jest również brzeg przodu idącego pod spód i brzeg przodu prostego do zapinania na środku. Sukieneczka z popielatej alpagi ma od góry podszewkę z szyrtyngu a niżej z muślinu. Przybranie stanowią wypustki niebieskie jedwabne ze sznureczkiem i takież guziki, falbanka zaobrąbiona na prawą stronę i ozdobiona wypustką bez sznureczka, $6\frac{1}{2}$ cent. szeroka i pliska 1 cent. szeroka. Kieszonka plisowana 9 cent. długa, w górze 11, u dołu 13 cent. szeroka dopełniona patką podług Fig. 22.

N. 29. Fartuszek bluzkowy. Szlaczek na ryc. 18 w N-rze 22.

Rycina 29 przedstawia plecy fartuszka z białego batystu zwykłą formą kliniastą, przyozdobienie stanowi falbanka i szlaczek wyszyty podług ryc. 18 w N-rze 22, bawełną szafirową i ponsową.

N. 30. Torebka pleciona z grubej słomki.

Ozdobiona jest wyszyciem z włóczki angielskiej, w środku powleczona kolorowym tybetem a brzegiem ogarnirowana



N. 17. Krzesło do altany ogrodowej. Patrz ryc. 18.



N. 19. Haft ściegiem luźnym.



N. 18. Krzesło do altany ogrodowej.

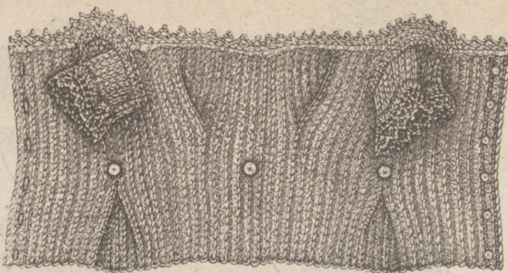
riuszą z wstążki lub szerokiej taśmy wełnianej, dogodna jest w podróży na drobiazgi które chcemy mieć pod ręką, lub wychodząc za sprawunkami.



N. 28. Sakieneczka skośnie zapinana, dla małego dziecka. Krój na arkuszu N. V, Fig. 18—22.



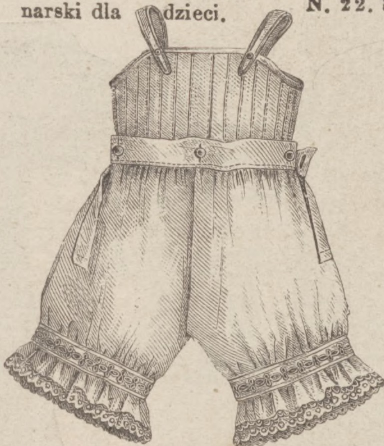
N. 20. Kołnierzyk marynarski dla dzieci.



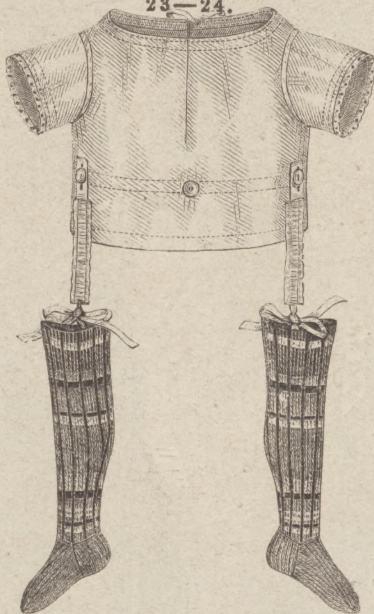
N. 22. Staniczek dla małych dziewczynek. Patrz ryc. 23—24.



N. 21. Kołnierzyk koronkowy marynarski dla dzieci.



N. 26. Majteczki i staniczek. Krój majtek na arkuszu N. VII, Fig. 24.



N. 25. Staniczek i sposób przywiązywania pończoszek dla dzieci lat 2—4. Krój na arkuszu N. VIII, Fig. 25—25.



N. 27. Spódniczka i staniczek dla dziewczynki lat 2—4.



N. 29. Fartuszek bluzkowy.

N. 31—32. **Pudełko** na kołnierzyki.

Uklejone z mocnej tektury, pokryte ponsowym safjanem, ozdobione jest z wierzchu szlaczkiem wyszytym podług ryc. 19 w N-rze 23.

N. 33. **Teka** na papiery. Wyszycie jedwabiami w guście japońskim.

Dwa kawałki tektury po 23 cent. długości, a 17 cent. szerokości, stanowią boki teki, w środku pokryte są jasną materyą a zwierzchu bareżem écru w paski, na którym dane jest wyszycie kolorowym jedwabiem. Do wiązania dodane z boków wstążki ponsowe.

N. 34. **Różne** przybory podróżne.

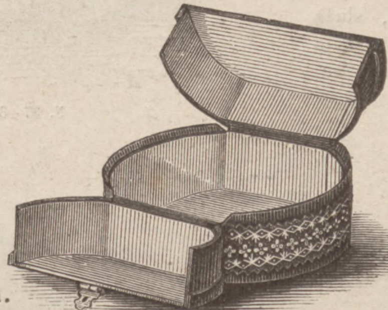
N. 35. **Krawatka** z wstążki serge.



N. 31. Pudełko na kołnierzyki. Patrz ryc. 32.

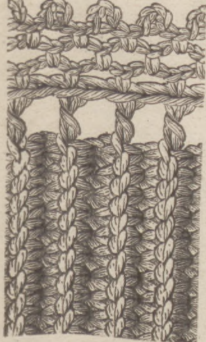


N. 30. Torebka pleciona ozdobiona wyszyciem.



N. 32. Pudełko na kołnierzyki Otwarte. Patrz ryc. 31.

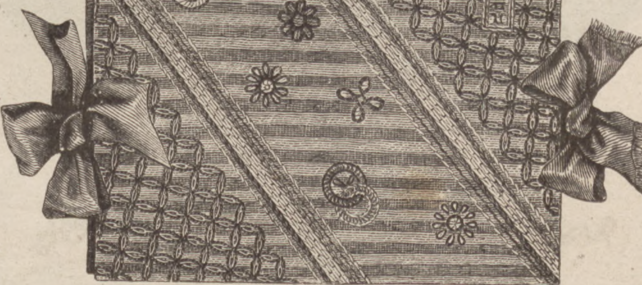
Wstążka blado-niebieska 12 cent. szeroka a 112 długa stanowi środek krawatki, zakończonej plisowaniem z koronki przyszytem 2 cent. szerokiem haftowanym szlaczkiem.



N. 23. Tło na drutach do ryc. 22.

N. 36. **Krawatka** chusteczkowa z białego muślinu.

Tego rodzaju krawatki stanowią ładne i modne przybranie. Środek wymaga skośnego kawałka muślinu 37 cent. szerokiego a 128 długiego w końcach ściętego spiczasto, który na około oszywa się koronką 6 cent. szeroką, zakładaną w drobniutkie fałdki. Krawatkę składa się we dwoje tak aby brzeg spodni wysunięty był trochę dłużej, z tyłu w środku zakłada się kilka fałdek, tak iż cała szerokość zwęża się do 9 cent. Fałdki te przechodzą z każdego boku aż do 24 cent. ku przodowi i są kilkoma ściegami zamocowane. W końcach krawatka także jest w fałdki złożona.



N. 33. Teka na papiery. Haft w guście japońskim.

N. 34. Przybory podróżne. Kapelusz, koszyczek ręczny, sakwojaż, pokrowiec na parasol, kołdra z poduszką nadętą powietrzem.

N. 37—38. **Suknia** z vêtement z tyłu zapinanem. Krój na arkuszu N. I. Fig. 1—4.

Takie odrobienie sukni nadaje się do każdego miękkiego wełnianego materyału, lub do materyałów letnich jak perkal, kreton, batyst i t. p. można mieszać dwa cienie lub tkaninę gładką z deseniową.

Rycina 37 i 38 przedstawia suknie z batystu gładkiego i batystu w prążki i kratę. Vêtement formą princesse bez boczków tylko z pleców z czterech części i z przodów złożone, przykrojone jest podług Fig. 1—3; na zmniejszonym formacie podane całkowite miary długości i szerokości. Do przodu o jednej zaszewce (Fig. 1), przykrojonego z materyału w prążki, przyszywa się pierwszą część pleców z materyału gładkiego (Fig. 2), wzdłuż od A do dołu zupełnie gładko; brzeg wystający od wcięcia stanu marszczy się do 4 cent. i wszywa w pasek, do którego następnie przyczepione są dwie środkowe części pleców, ukrojone na długość stanika z baskiną, przyłożone gwiazdką do gwiazdki. Brzegi tylne zupełnie nie zeszyte zdobi plisowanie 7 cent. szerokie dane wzdłuż na 60 cent. Cienka linija podwójna na Fig. 2 oznacza miejsce listewki do marszczenia, 36 cent. długiej którą podszywa się od spodu. Stanowi ona podpięcie vêtement gdy jest ściągniętą do 6 cent.; w tem miejscu i niżej o 22 cent. od dolnego i o. 35 od tylnego brzegu przyszywają się tasiemki do związywania vêtement. Przy dwukropku do którego dochodzi plisowanie obie pierwsze części pleców są lekko z sobą zczepione i przyszyte ku jednej stronie, w miejscu oznaczonem przez C. Suta kokarda z wstążki dopełnia podpięcia.

N. 24. Część rękawka robotą drutową i szlak szydełkowy do ryc. 22.

N. 39 i 8 tudzież ryc. 24—25 w N-rze 22. **Suknia** z tuniką, stanikiem z baskiną i paltocikiem. Krój tuniki wskazany na ryc. 8, krój stanika podług ryc. 5; krój paletocika podług ryc. 35 i 36 w N-rze 18.

Rycina 39 przedstawia suknię letnia

bez paletocika, który podaliśmy oddzielnie na ryc. 24 w N-rze 22, tunikę zaś na ryc. 25. Model odrobiony z lekkiego wełnianego materyału ciemno-granatowego; zamiast galonów dane są szlaki cardinal przerabiane fabrycznie. Przy paletociku widzimy szlak wyszyty krzyżkami ponsowemi i szafirowemi na tle z białego materyału; desenie znajdą czytelniczki w przeszłych N-rach Tygodnika.

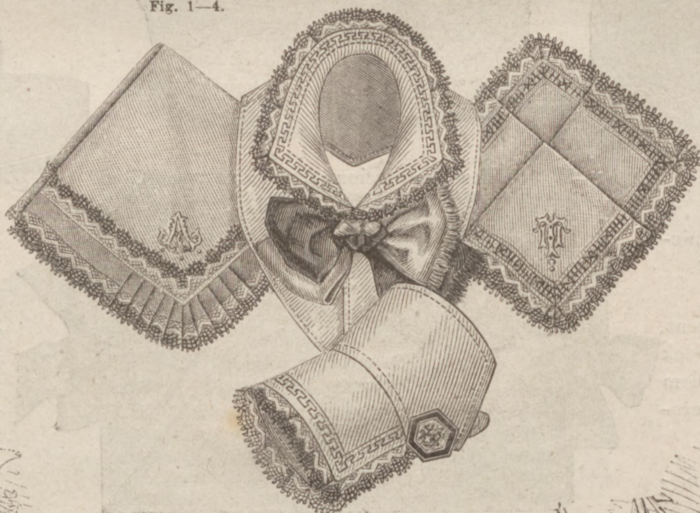
Stanik ma baskinę z tyłu przeciętą, z boków przykrojoną nakształt szose od fraka; z przodu tunika zapina się na staniku i pasek od niej przysłonięty jest paskiem fałdowanym. Wskazanie kroju i potrzebne miary tuniki podaliśmy na ryc. 8; *a* oznacza bryt przedni, *b* kliny boczne, *c* bryt tylny zszywa się w całej długości tylko z węższym klinem bocznym. Dalej gdy złożone fałdy są oznaczone punktami i krzyżykami, które skracają klin zszyty z tylnym brytem do 80 cent. długości a drugi klin do 90 cent., (fałdowanie układa się na 48 cent. od dolnegu brzegu), bryt tylny zszywa się i z drugim klinem bocznym na 56 cent. od dołu, pasując gwiazdką do gwiazdki. Od spodu pod fałdowaniem przyszyte tasiemki, służą do związania tuniki. Kieszeń przyszyta z lewego boku kraje się podług ryc. 39.



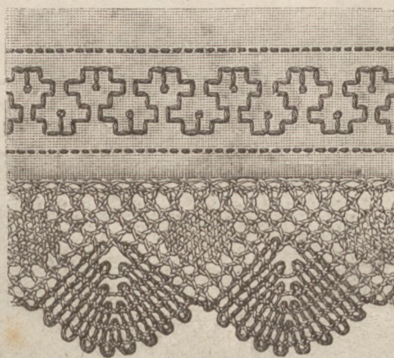
N. 35. Krawatka z wstążki serge, oszyta koronką.



N. 37—38. Suknia z vêtement z tyłu zapinanem. Krój w dodatku N. I, Fig. 1—4.



N. 41—44. Kołnierzyk, mankiety i chusteczki z koronką ręczną. Patrz ryc. 1—2.



N. 45. Szlaczek i koronka do chusteczki ryc. 44.

N. 40. Ubranie strojne wizytowe. Patrz ryc. 9.

Suknia z jasnej materyi faille przybrana jest kosztowną frendzlą jedwabną, koronką, kokardami i guzikami naszytemi na długiej frakowej baskinie. Rycina 9 wskazuje krój sukni z długim trencm; bryt tylny dopełniony jest częścią fałdowaną tworzącą tren, nad którą podszyta jest na brycie listewka do ściągania sukni. Falbany układane podług ryc. 40 podszyte są od dołu a z przodu od góry 5 cent. szeroką listewką z materyi innego koloru lub cieniu, która odbija efektownie przy rozrzucaniu się fałd. Z takiejże materyi są wypustki i kokardy, te ostatnie mieszane są z materyą sukni.

N. 41—45. Kołnierzyk, mankiety i dwie chusteczki do nosa. Krój kołnierzyka w dodatku N. IV, Fig. 13—17.

Podaliśmy wzór modnego garnituru i chusteczek, oszytych koronką ręczną z kolorowym szlaczkiem jak na ryc. 45 i 1 — 2. Koronki te są obecnie bardzo modne do bielizny i sukien letnich; moda wymaga aby oszycie kołnierzyka, chusteczki i sukni było jednakowe, z kolorem ponsowym, różowym, niebieskim lub écru byle tylko nie mieszając dwóch kolorów.



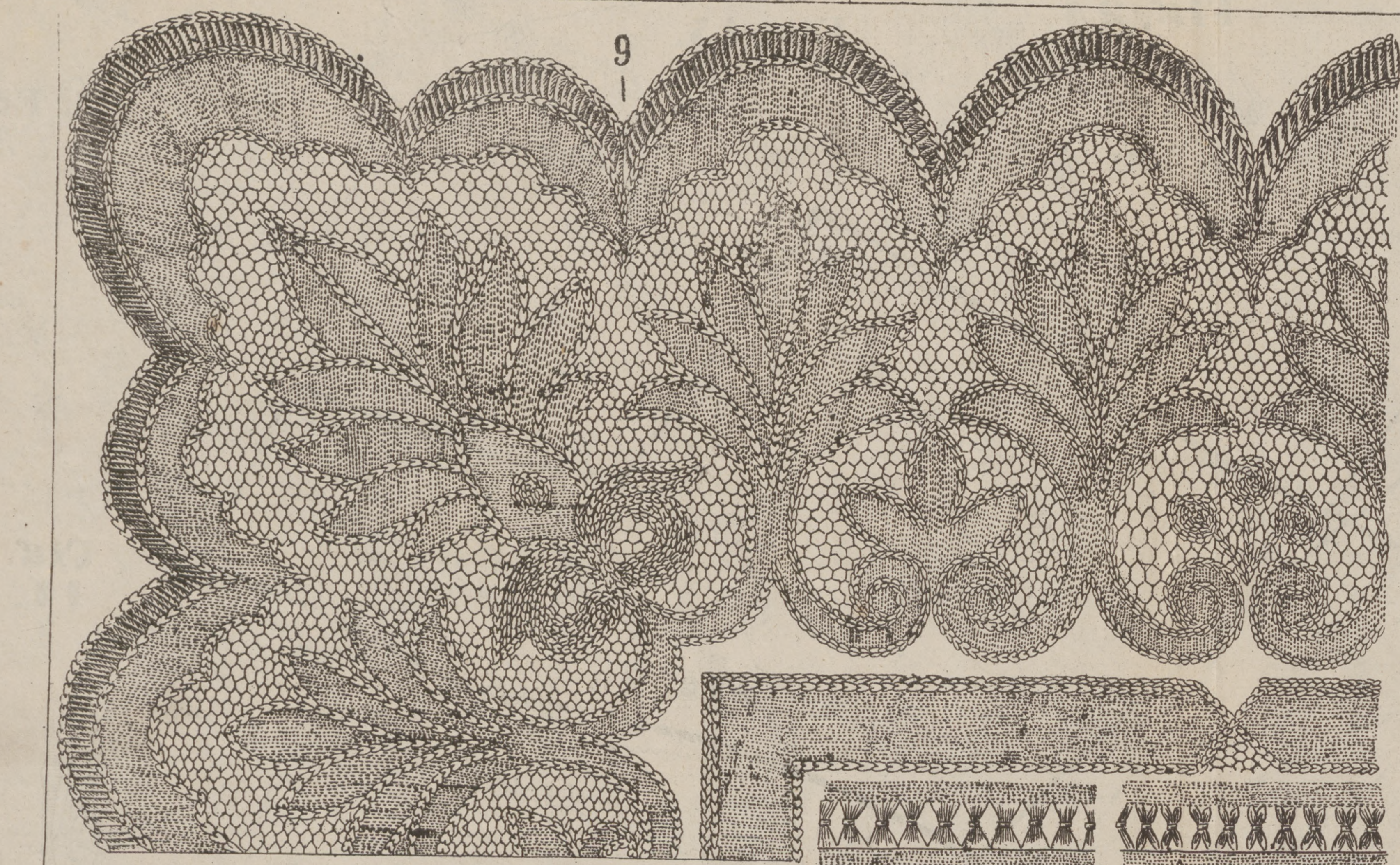
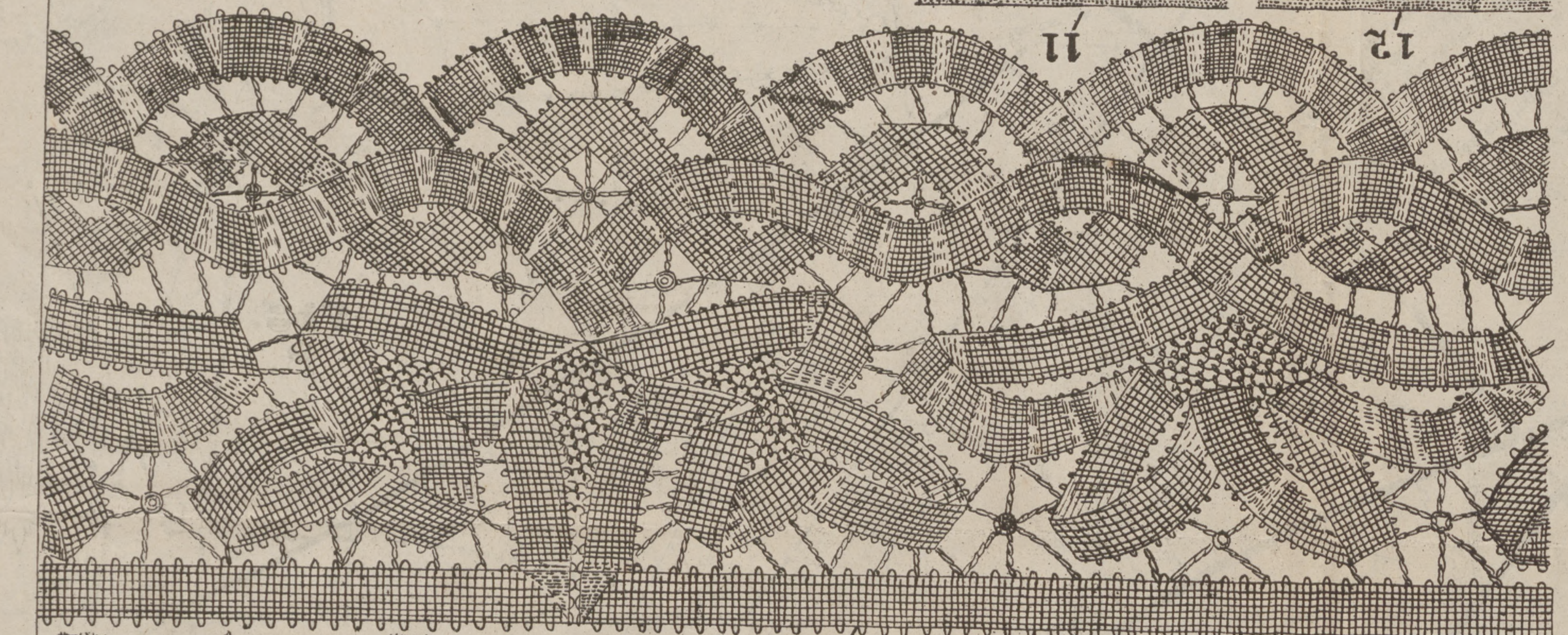
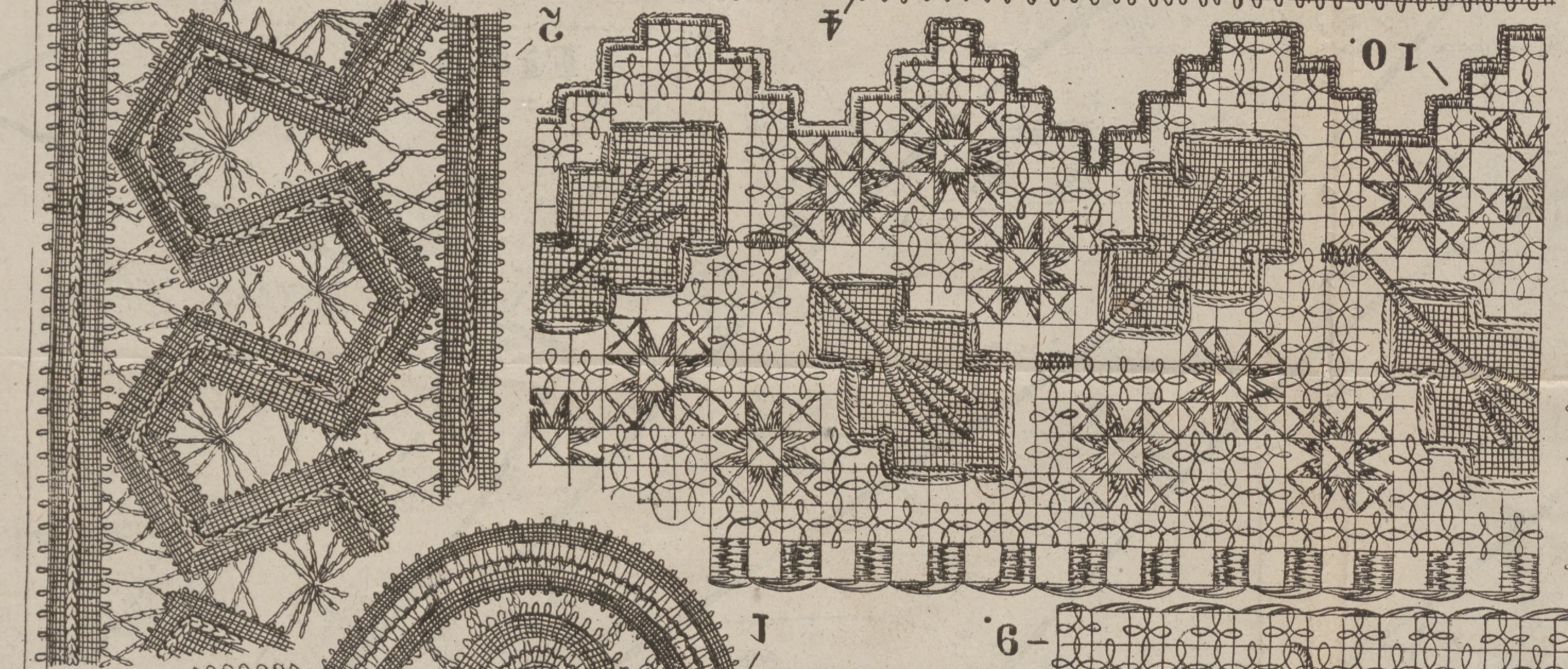
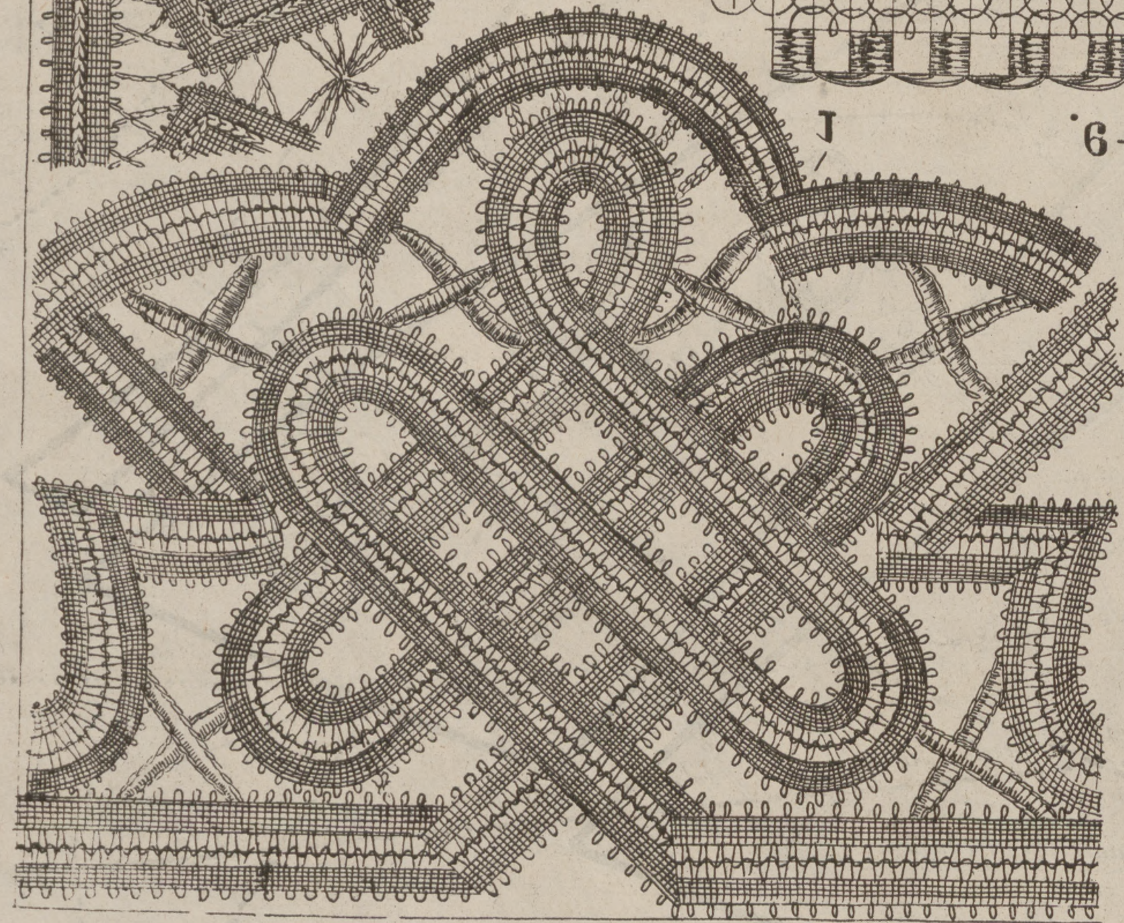
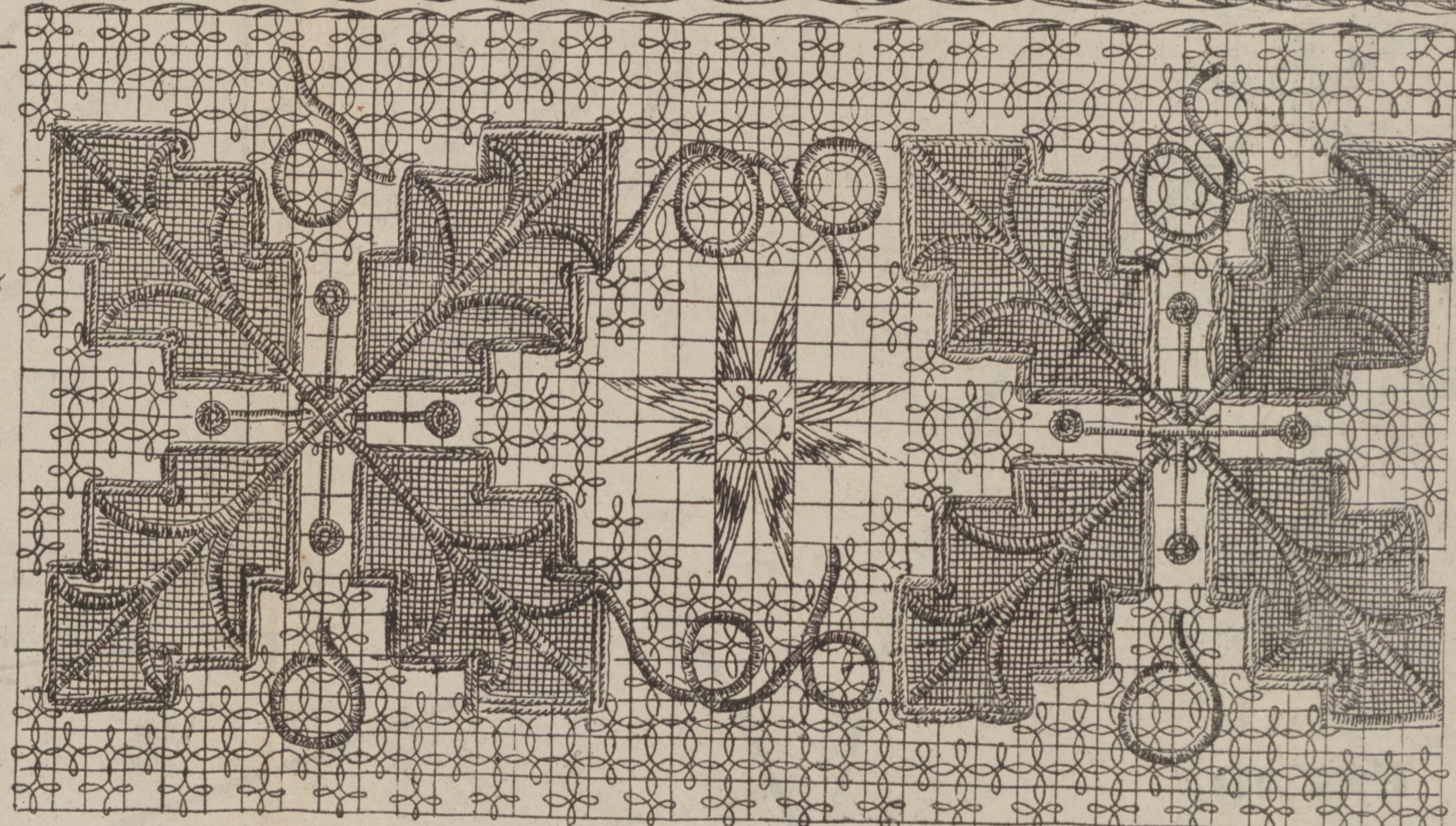
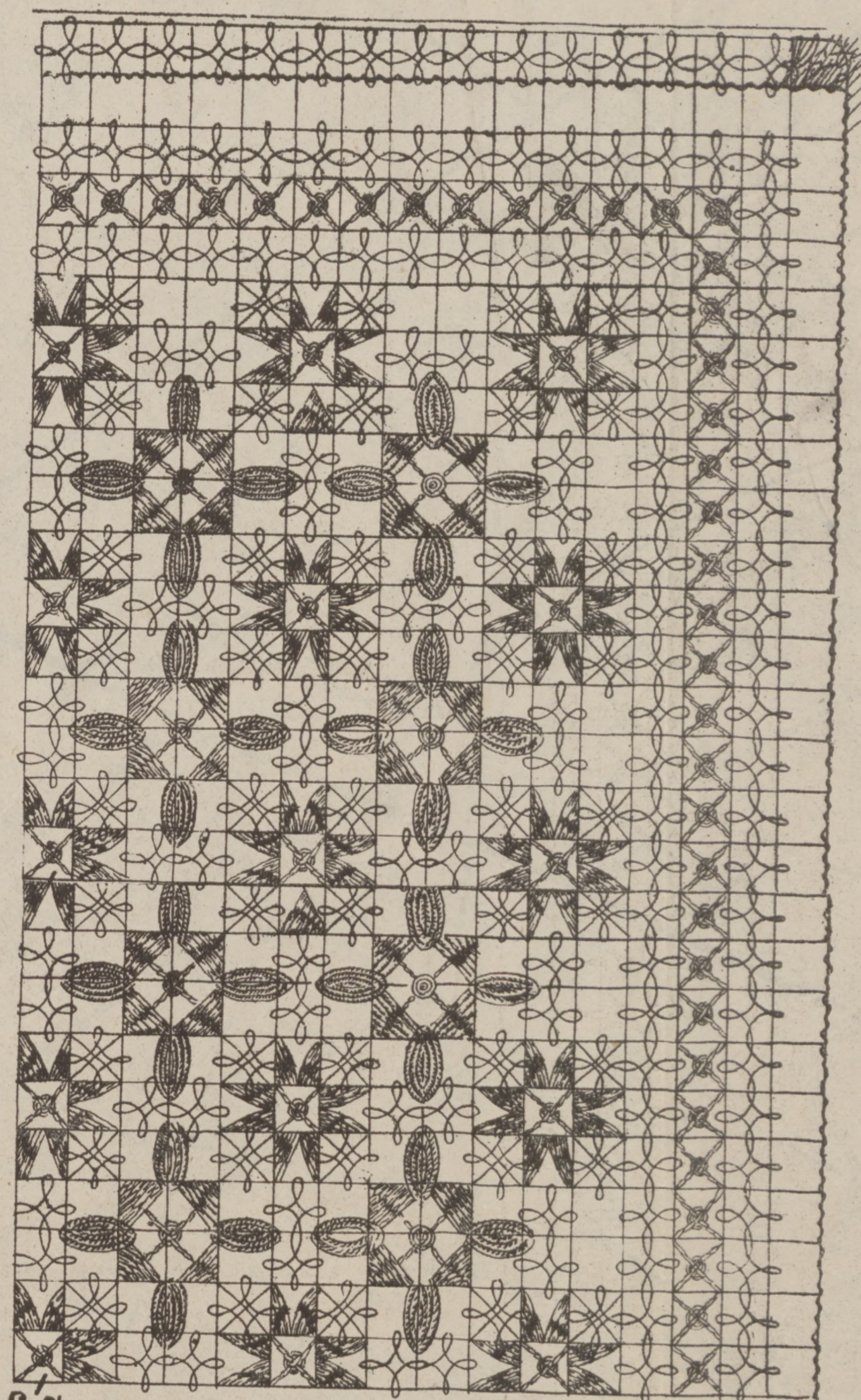
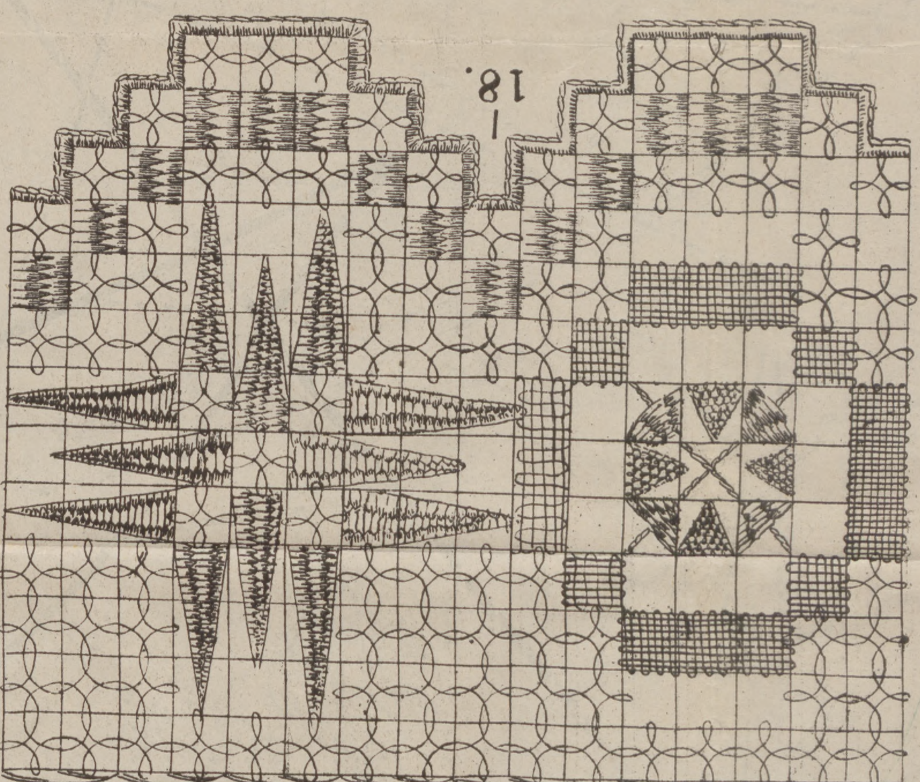
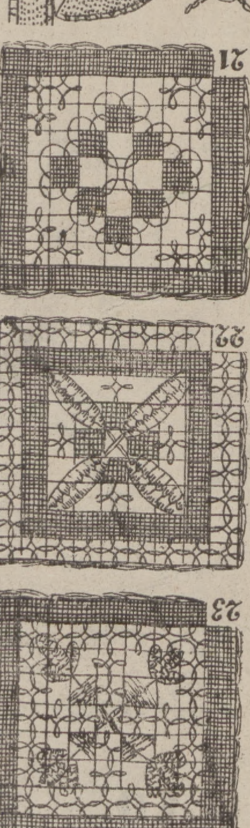
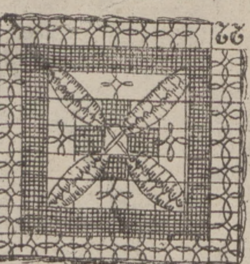
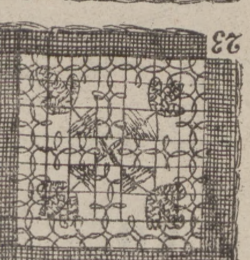
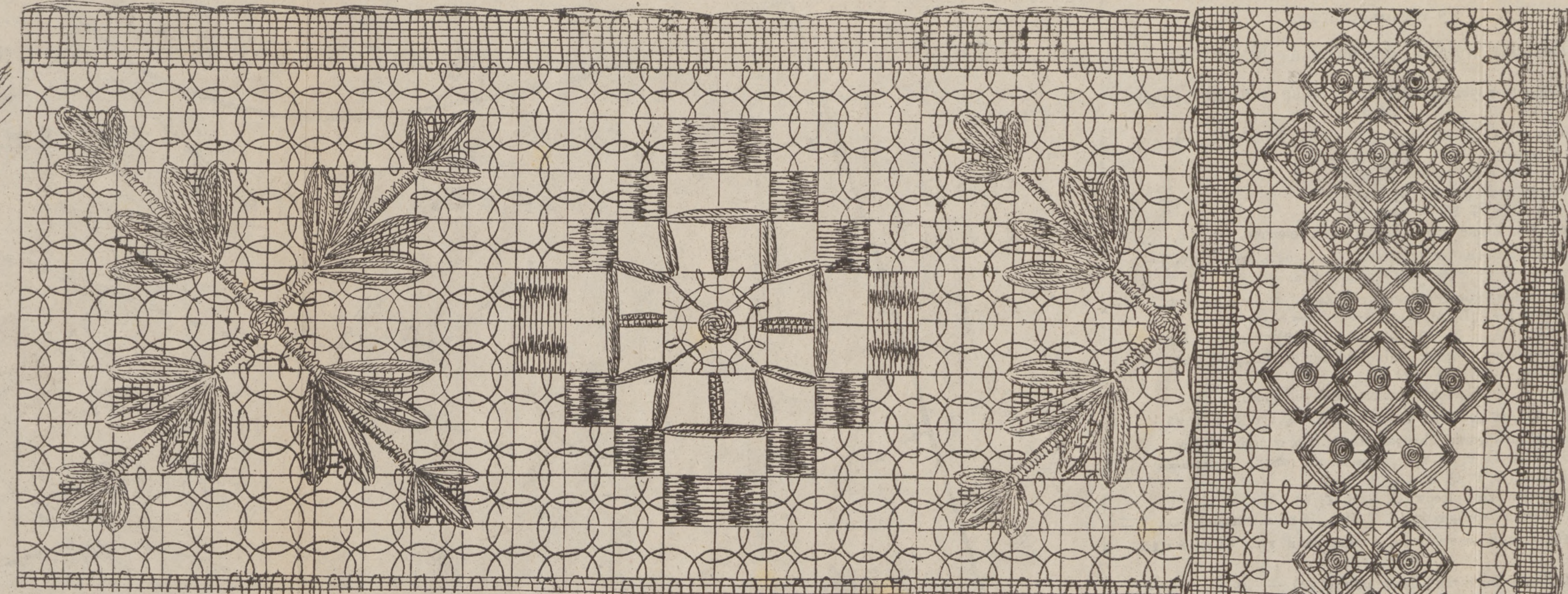
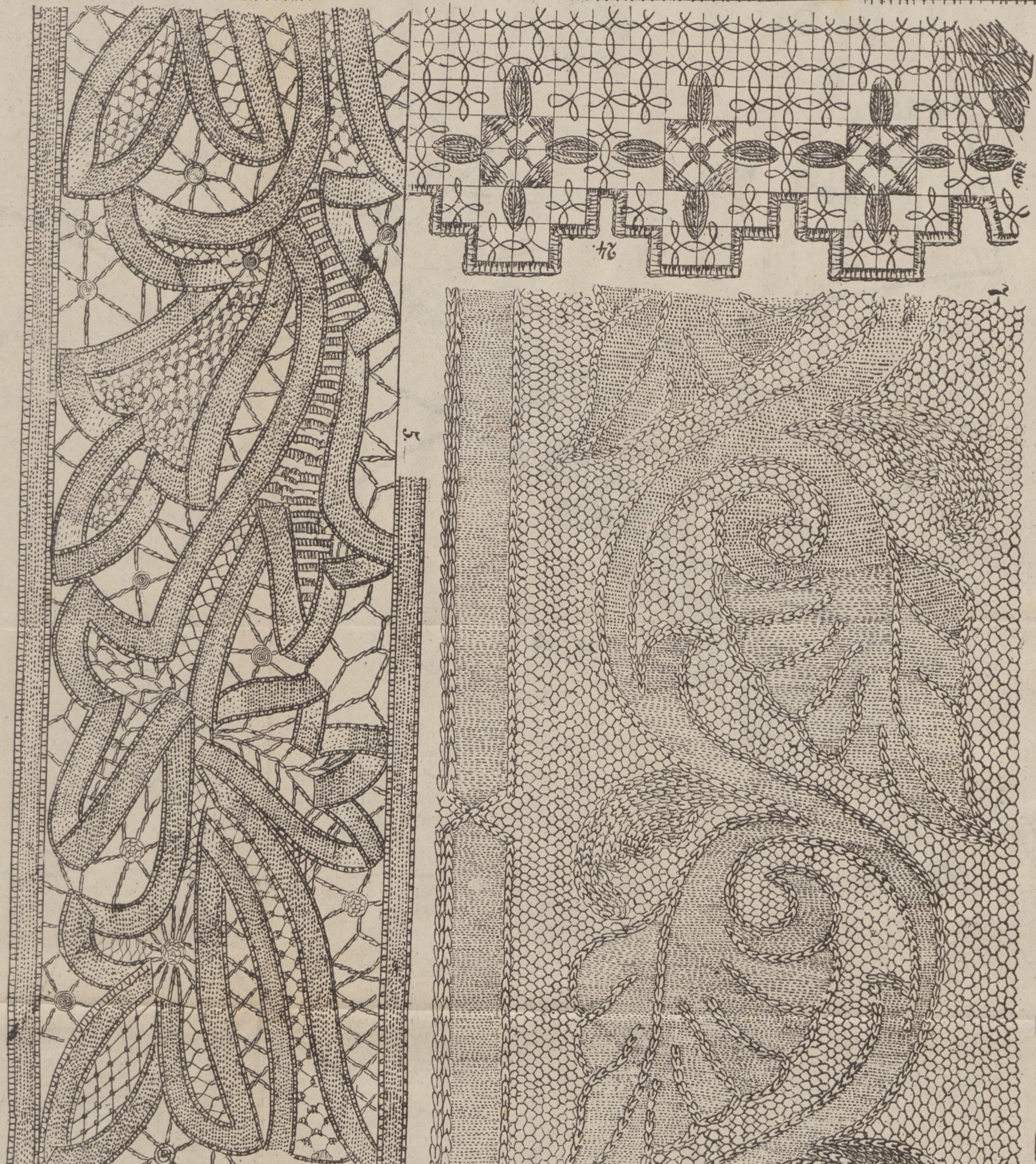
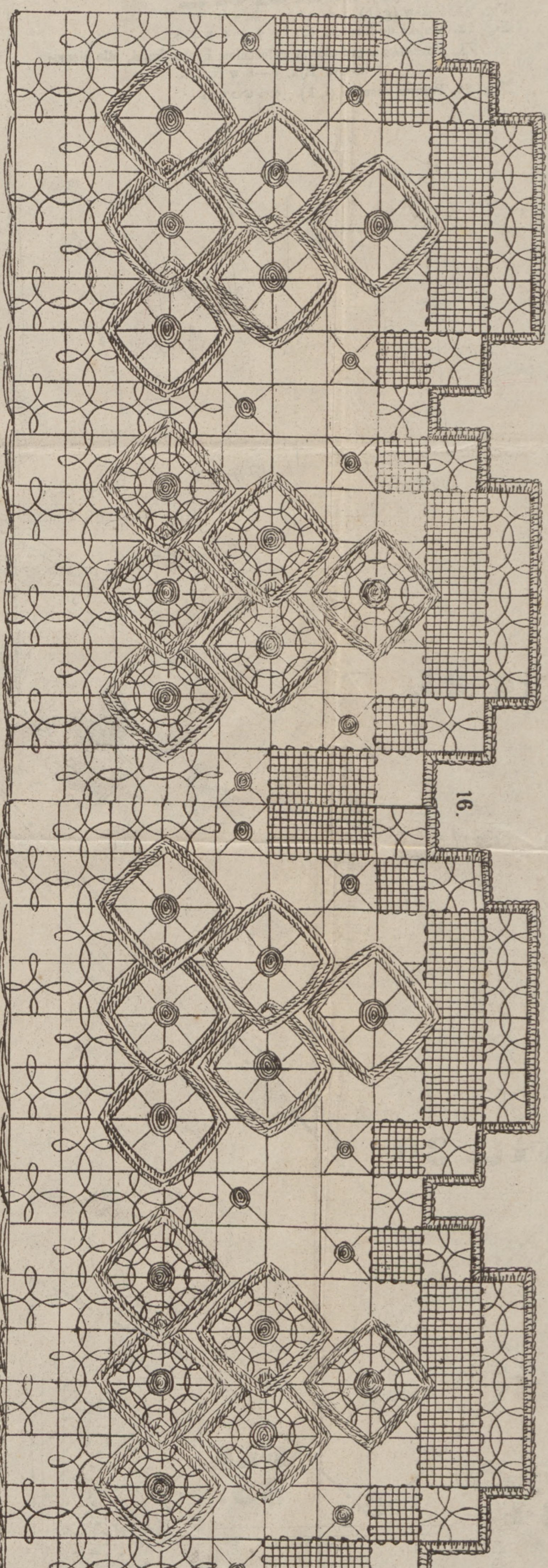
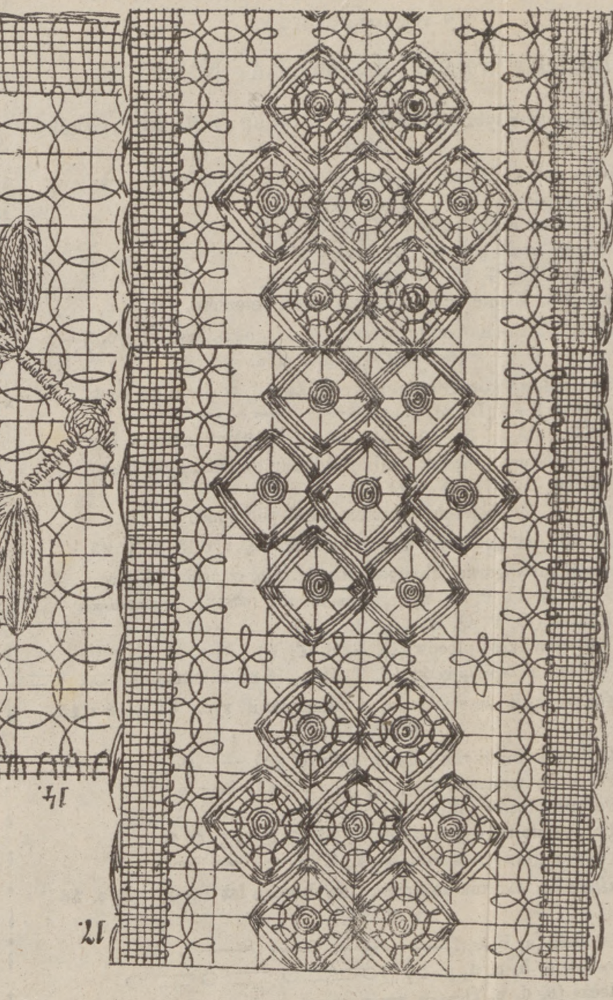
N. 36. Krawatka chusteczkowa.



9. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną. Patrz ryc. 24—52 w N-rze 22 i ryc. 8.



N. 40. Ubranie strojne wizytowe. Patrz ryc. 9.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1877 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 22 i 23.

N. I. ***Vêtement*** z tyłu zapinane, ryc. 37—38 w N. 23 Tygodnika Mód.

Miara połowy górnej objętości stanu 47, w pasie 32 cent.

Fig. 1. Przodek (A, D, E, F) ～～～
Fig. 2. Pierwsza część pleców (A, B, C, E, *) — • — •
Fig. 3. Druga część pleców (B, C, D, *) — * — * — *
Fig. 4. Rękaw (F, G, H, I)
Fig. 1-a—3-a. Zmniejszony rysunek części vetement.

N. II. ***Spodnia*** suknia pod princesse z lekkiego materyału, ryc. 5—6 w N. 22 Tygodnika mód.

Miara połowy górnej objętości stanika 48, w pasie 34 cent.

Fig. 5. Przodek (K, L, M, N) - — - — - —
Fig. 6. Plecki (K, L, M, . 1 X 1 do . 2 X 2)
Fig. 7. Zmniejszony rysunek i miary falbany dopełniającej tren.
Fig. 8. Rękaw (M, N)
Fig. 5-a—6-a. Zmniejszony rysunek sukni pod spód.

N. III. ***Stanik*** pod szyję z baskiną frakową, ryc. 5 w N. 23.

Miara połowy górnej objętości stanika 52, w pasie 36 cent.

Fig. 9. Przodek (O, P, U, V, *, 2 załamania formy)
Fig. 10. Boczek (O, P, Q, R) — o — o — o
Fig. 11. Pierwsza część pleców (Q, R, S, T, V) • × • × • × •
Fig. 12. Środkowa część pleców (S, T, U, :, 1-no załamanie) = × =

N. IV. ***Kołnierzyk*** ze szmizetką i mankietami ryc. 41—42 i 45 w N. 23.

Fig. 13. Połowa kołnierzyka i deseń haftu (*, :) — × — × —
Fig. 14. Przód do szmizetki (W, X, *)
Fig. 15. Połowa pleców (W, X, :)
Fig. 16. Połowa dolnego mankieta (Y, Z) o o o o o o
Fig. 17. Połowa górnego mankieta (Y, Z)

N. V. ***Sukienka*** skośnie zapinana dla dziecka lat 1—2. Ryc. 28 w N. 23.

Fig. 18. Przodek (a, b, e, f) — — — —
Fig. 19. Boczek a, b, c, d, g, :, *) o = o = o = o
Fig. 20. Plecki (c, d, e, f)
Fig. 21. Rękaw (g, h) • + • + • + • +
Fig. 22. Klapka do kieszeni, (:, *) + + + + + +

N. VI. ***Koszulka*** z przeciętym wyłożeniem i rękawkami, dla niemowlęcia. Ryc. 7—8 w N. 22.

Fig. 23. Połowa koszulki (i, k)

